

mnich

DAWID MIKOŚ



mnich

DAWID MIKOŚ

1. Intruz

„Mało prawdopodobne, że spotkasz kogoś po drodze, ale miej się na baczności. Szczególnie przed punktem kontrolnym. Gdy już go miniesz, nie powinieneś zobaczyć żywej duszy. Trzymaj się ubitej drogi, a w godzinę, o ile Bóg pozwoli, dotrzesz na miejsce” – w głowie Szarbela rozbrzmiewały ostatnie słowa, które usłyszał od zakonnika odprawiającego go w drogę. Były tak uporczywe, że niemal wyuczył się ich na pamięć. Zgodnie z instrukcjami wyruszył na Wzgórze w środku nocy. Wokół panowała cisza, żołnierze skryli się w barakach. W górze spowity ciemnością monastyr pozostawał niewidoczny. Ufał, że tam jest, a ścieżka zaczynająca się nieopodal obozu jest właściwą drogą.

Po ostrożnym minięciu żołnierskiego wozu brnął szybko do przodu, a gdy posterunek zniknął już całkowicie z pola widzenia, postanowił więcej nie patrzeć wstecz. Zaczęła mu się snuć w myślach opowieść, którą często słyszał w dzieciństwie. Była to historia o chłopcu, który wędrował w góry, by uratować siostrę porwaną przez czarownicę. Mógł ją odnaleźć pod warunkiem, że ani razu nie spojrzy za siebie – bez względu na to, co usłyszy. Bohatera bajki zjadła jednak ciekawość i zerknął za siebie, by sprawdzić, co dzieje się z tyłu... Rodzeństwu nigdy już nie było dane spotkać się ponownie. Zastanawiał się, czy on też wędruje taką drogą. A jeśli tak, kogo miałyby uratować?

Noc wypełniała cisza, którą od czasu do czasu przerywał wzbierający wiatr. Jego poddmuchy były tak zimne, jakby ktoś przykładał mu do policzków kawałki lodu. Grube, wełniane

spodnie i kilka warstw używanej odzieży, którą dostał od braci w Mieście, wydawały się zbyt cienkie wobec górskiego chłodu.

To, co mijał, zatopione było w ciemności. Skały wyrastały przed nim niczym ściany sięgające nieba, pozornie nie do pokonania. Gdy oświetlał je latarką, bariera się kończyła i pojawiał się przesmyk pozwalający iść dalej, w głąb tunelu. Za każdą taką bramą czerń nieba wydawała się jeszcze głębsza – do tego stopnia, że mijane obiekty ponownie zlewały się w jedną całość, do której wzrok musiał się na nowo przyzwyczaić. Za ostatnim z takich korytarzy ujrzał blady księżyc w pełni, zawieszony bardzo nisko na coraz bardziej rozgwieżdżonym niebie. Wysoko w górach – choć małe jak mrówki – gwiazdy świeciły intensywniej niż w Mieście. Gdyby potrafił je czytać, być może rozpoznałby kształty, o których tyle słyszał. Próbował wypatrzeć na przykład Wielki Wóz, ale szybko dał za wygraną. W końcu w oddali zobaczył upragniony znak – słabo żarzące się światło. Musiał to być cel, do którego tak uporczywie zmierzał. „Albo życie na Wzgórzu toczy się do późna, albo ktoś tam faktycznie na mnie czeka...” – serce zabiło mu nieco szybciej. Szybkim krokiem skierował się w stronę smug widocznych na horyzoncie.

Droga skręcała ostrym łukiem. Szarbel omiótł ją snopem światła i zastygł w miejscu. Trzy metry przed nim, na samym środku ścieżki, stał lis. Zwierzę trwało w bezruchu, blokując przejście. Chłopak wzdrygnął się i skierował światło prosto w oczy zwierzęcia. Lis jednak nie zareagował – musiał być przyzwyczajony do sztucznego blasku. Szarbel bał się wykonać jakikolwiek ruch, szczególnie że napotkany strażnik także pozostawał niewzruszony. Nie wiedząc, co zrobić, postanowił nie wyłączać latarki. Zwierzę bacznie go obserwowało, ale szybko zaczęło drżeć z zimna. Potem głośno ziewnęło i – znużone biernością chłopaka – obniżyło tułów, znacząco wysuwając pysk do przodu. Cofnął się o krok, licząc, że wystraszy lisa i będzie mógł iść dalej. Zwierzę jednak

nie ustępowało, zasłaniając przejście ciałem. Nagle od strony jednej ze skał dobiegło ciche, przeciągłe skomlenie. Poświecił tam latarką i zobaczył trzy małe, trzęsące się z zimna lisie szczenięta, wpatrzone w opiekuna. Szarbel był tu intruzem. Dorosły osobnik jednym susem odskoczył w stronę maleństw, które instynktownie wtuliły się w jego futro. Nie zapomniał przy tym o przybyszu – wciąż uważnie obserwował chłopaka. Szarbel, kierując światło latarki obok zwierząt, przeszedł na przeciwległą stronę drogi, by się od nich oddalić, po czym bardzo powoli ruszył naprzód. Lis pozostał nieruchomy, wciąż osłaniając młode. Gdy zostawił rodzinę za plecami, nabrał odwagi i przyspieszył. Jednak – wbrew danej sobie obietnicy – wkrótce spojrzął za siebie. W miejscu, gdzie wcześniej stała gromadka, leżał samotny kamień. Zwierzęta musiały bezszelestnie zniknąć w ciemności, co nasiliło lęk, że mogą znów zjawić się znienacka.

Przez kilkanaście kolejnych metrów szedł powoli, oglądając się nerwowo i wypatrując w mroku zwierzęcych kształtów. W każdej ostrej wypustce skalnej widział czujne uszy niedźwiedzia, które jednak ginęły w mroku, nim zdążył się im przyjrzeć. W końcu zatrzymał się, zmęczony i znużony czujnością. Usiadł w ukryciu pod skałą, by ochłonać i pomyśleć, co dalej. Gdzieś w oddali – być może we wsi u stóp Wzgórza – zawył pies. Nad głową zatrzepotały skrzydła – sowy albo innego nocnego ptaka – nie był pewien.

Wreszcie wyłączył latarkę, którą przez cały czas kurczowo trzymał w dłoni niczym linę asekuracyjną. Dopiero po jakimś czasie, gdy oczy przywykły do mroku, dostrzegł oświetloną delikatnym blaskiem bryłę monastyru. Z wysokiego, wąskiego komina unosiła się smużka szarego dymu. Po kilku minutach stał już przed wielkimi drzwiami. Dotknął ich, by upewnić się, że to nie omam. Wtedy poczuł, że ciało przestało go słuchać. Zimno odebrało czucie w dłoniach, twarzy i nogach, zamieniając

mięśnie w ołów. Padł na kolana, uderzył czołem o framugę i osunął się na ziemię.

– Chłopcze, co z tobą? – niski, chropowaty głos ocucił Szarbela.

Stał nad nim postawny mężczyzna w brązowym habicie. Obszerny kaptur opadał mu na plecy, odsłaniając przenikliwe, krystalicznie błękitne oczy, przekrwione ze zmęczenia. Miał żyłaste dłonie i długie palce, a na kciuku miedzianą obrączkę.

– Szczęść Boże... – wykrztusił Szarbel, podnosząc się z ziemi przy pomocy mnicha.

Zakonnik zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Rudawomiodowa czupryna opadała przybyszowi na zielone oczy, a na pociągłej twarzy odcinały się drobne piegi.

– Czekałem na ciebie całą noc – nakreślił w powietrzu znak krzyża. – Niech ci Bóg błogosławi... i chodź do środka, nim przemarzniesz do szpiku kości.

Chłopak przyglądał mu się badawczo i w milczeniu, przez co mnich poczuł się wyraźnie nieswojo i cofnął się o dwa kroki.

– Rozgość się – dodał po chwili i położył drżącą dłoń na ramieniu chłopaka, przekraczając kamienny próg.

– Nie miałeś trudności z trafieniem tutaj? – mnich przerwał ciszę.

Szarbel pokręcił przecząco głową, omiatając wzrokiem parter. W jego spojrzeniu lęk wciąż mieszał się z ulgą.

– Skromnie tu, ale przywykniesz. Przygotowaliśmy dla ciebie pokój na piętrze. Jest też coś do jedzenia...

- Nie jestem głodny, ale strasznie zmarzłem.
- Zaraz się rozgrzejesz. Naleję herbaty.

Zakonnik skierował się do kuchni i zdjął z pieca rondel z wodą, po czym dorzucił drewno do ognia. Płomienie raźniej strzeliły, oświetlając twarz gospodarza. Bury zarost maskował na jego policzku ciemny ślad – szramę lub stary tatuaż.

Mężczyzna podał chłopakowi parujący napój, który Szarbel wypił niemal jednym haustem. Czuł, jak ciepło powoli rozchodzi się po ciele.

- Za kilka godzin zacznie świtać. Ja już się nie kładę, ale ty powinienes odpocząć. Bracia obudzą cię później, a igumen objaśni ci zasady panujące w monasterze.

Mnich nerwowo skinął dłonią, po czym poprowadził go po schodach. Drogę oświetlała świeca w kształcie figury Matki Bożej. Była już mocno nadpalona – płomień stopił połowę woskowego ramienia postaci. Po wejściu do celi gospodarz postawił światło na stole. Wnętrze było surowe: krzyż na ścianie, prycza z grubymi kocami i prosty wieszak. Na blacie leżał talerz z dwiema pajdami chleba, marmolada o barwie rubinu i garść suszonych moreli.

- Czegoś ci jeszcze potrzeba? – mnich podrapał się po policzku.
- Nie... to chyba tyle – Szarbel zerknął w stronę okna, przez które wpadał blady blask księżycy.
- Jak zmienisz zdanie, będę w kuchni aż do świtu.

Chłopak tylko głośno przełknął ślinę. Zakonnik popatrzył na niego jeszcze przez chwilę, jakby sprawdzał, czy gość znów nie zemdleje, po czym wycofał się i zniknął w mroku korytarza. Szarbel zamknął drzwi i opadł na pryczę. Chłód ciągnący od nieszczelnych ram okiennych był przeszywający. Wstał, szukając

dotatkowego przykrycia, ale niczego nie znalazł. Wrócił więc pod koce i zakrył uszy dłońmi. Sen nie nadchodził. Gdy tylko mrużył oczy, dopadał go lęk, że jeśli zaśnie zbyt głęboko, zamarźnie na śmierć. Obrazy z wędrówki wracały pod powiekami – monastyr majaczył na horyzoncie, by po chwili zniknąć i zostawiać go znów na samym początku drogi. Nagle nocną ciszę rozdarło bicie dzwonu. Dwa krótkie, metaliczne uderzenia. Dźwięk dobiegał jakby zza ściany, ale był tak nierealny, że Szarbel nie miał pewności, czy go nie wymyślił. Przycisnął dłonie do rozpalonego czoła, nasłuchując drżenia powietrza.

2. Turkusowy plusz

Zza drzwi dobiegał uporczywy dźwięk szurania – jakby ktoś drapał ostrym narzędziem po ścianie tuż przy jego uchu. Źródło hałasu musiało znajdować się zaraz za progiem pokoiku, w którym Szarbel spędził noc. Chłopak, wciąż niewyspany, odwrócił się na bok, wpatrując się w białą ścianę pokrytą grudkami wapna. Nie minął kwadrans, gdy znów się ocknął, tym razem obudzony skrzypnięciem zawiasów.

Ktoś wszedł do środka. Szarbel zignorował te odgłosy, udając, że śpi. Miał nadzieję, że intruz szybko się wycofa. Nie był jeszcze gotów stawić czoła nowemu dniowi; zbyt mocno ciążyły mu przeżycia ostatnich dni. Jedyną skuteczną ucieczką był sen.

– Dyń, dyń – czas wstawać... – rozbrzmiał cichy, męski głos.

Chłopak uchylił powieki. W progu stał mnich, znacznie młodszy od tego, którego widział w nocy. Miał bujne, ciemne włosy, zielone oczy i pełne usta. Jedynie drobne bruzdy na czole zdradzały, że dawno przestał być nastolatkiem.

– Przewietrz tu trochę – zasugerował przybysz, marszcząc nos i odganiając dłonią ciężkie powietrze. Spojrzał na nietknięty talerz.
– Dobra, czekam na zewnątrz. Daję ci pięć minut.

Zanim wyszedł, zakonnik porwał z talerza kilka suszonych moreli. Gdy drzwi się zamknęły, Szarbel otworzył okno. Na

zewnątrz wciąż panował półmrok, a gęsta mgła spowijała świat. Pospiesznie wciągnął ubranie i wyrzwał na korytarz. W nozdrza uderzyła go ostra woń mydła marsylskiego.

– Uważaj, żebyś się nie poślizgnął – ostrzegł mnich czekający za rogiem. – Najpierw pójdziemy do igumena, potem na śniadanie. A jak ci właściwie na imię?

– Sza... Szarbel – zająknął się chłopak.

– Święty Bogiem upojony! A ja jestem Gabriel – zakonnik wyciągnął dłoń na powitanie.

Gabinet najstarszego mnicha znajdował się na końcu korytarza. Gabriel zastukał, po czym wprowadził chłopaka do środka. Szarbel rozejrzał się z zaciekawieniem. Ściany zdobiły czarno-białe fotografie w grubych ramach. Pokój zupełnie nie pasował do reszty ascetycznego monasterium – pełno tu było skórzanych mebli i rzeźbionego drewna. Pod ścianą stał fotel obity turkusowym pluszem, a na stole mieniła się połączana lampka z ażurowym abażurem. Wzrok przyciągał też wiszący nad oknem obraz przedstawiający kobietę z kielichem i aureolą. Igumena jednak nie było w środku. Obaj wyszli więc z gabinetu i skierowali się do kuchni na parterze. Okna pomieszczenia wychodziły na obszerny ogród, ale wewnątrz panował półmrok. Szarbel zwrócił uwagę na kredens z przeszklonym frontem, w którym migotało odbicie ognia z pieca. Na stole leżał chleb przykryty białą ścierką, dwa jajka na twardo i pokrojona w kostkę marchew.

– Częstuj się, zaraz wrócę – zachęcił Gabriel.

Gdy tylko wyszedł, chłopak łapczywie rzucił się na jedzenie. Kiedy opróżnił talerz, wciąż czuł ssanie w żołądku. Zaczął wyskrobywać okruszki ze szczelin w blacie, zerkając nerwowo na drzwi. W tej chwili z pomieszczenia obok wyszedł przygarbiony

mężczyzna o szaro-zielonych oczach.

– Nazywam się ojciec Szymon – przywitał się mnich, zajmując miejsce na niskim taborecie przy piecu.

Szarbel przyglądał się twarzy starca. Z sinych worków pod oczami wywnioskował, że mnich musi na coś chorować.

– Dziękuję, że mnie przyjąłeś, ojcze... – chłopak pochylił głowę, domyślając się, że ma do czynienia z przełożonym.

– Dzisiaj poznasz monaster. – Igumen wstał i podszedł do chłopaka, by nakreślić znak krzyża na jego czole. – Śniadanie jemy zwykle przed wschodem słońca, po modlitwie, ale dzisiaj dla ciebie zostało coś ze stołu. Gabriel oprowadzi cię po gospodarstwie. Mamy ogród, winnice, kurnik... Nie chcę jednak, żebyś poczuł się przytłoczony.

– Musimy sprawdzić kopczykowanie! – Gabriel nagle zjawił się w kuchni, chwytając chłopaka za rękę.

– Kopczy... co?

Gabriel wybuchł śmiechem. – Spokojnie, wytłumaczę ci. Nigdy nie zajmowałeś się winem?

– Nie. W domu były warzywa i owoce, ale nie winogrona.

– Przy winoroślach pomagał Gabrielowi brat Albert, ale ostatnio podupadł na zdrowiu – skomentował igumen. – Coraz częściej gubi myśli. No i większość braci jest już stara, a od wybuchu wojny nikogo nie przyjmowałem. Potrzebujemy rąk do pracy. Twoje przybycie to dla nas ulga.

Igumen rozejrzał się po kuchni, jakby kogoś szukał:

– Czasem zaglądam tu ludzie z wioski. Przynoszą drewno czy ziarno, my dajemy jaja i wino. Gabriel odpowiada za tę wymianę, a ty będziesz mu teraz pomagał.

– Chodź, oprowadzę cię – rzucił beztrąsko młodszy mnich.

Na zewnątrz mróz już odpuścił, a zza chmur nieśmiało

wychyństwo słońce. Mimo to Szarbel zaczął drżeć. Gabriel natychmiast zdjął wełnianą kamizelkę i narzucił mu ją na plecy.

– Przywykniesz. Dobra wiadomość jest taka, że wiosna tuż-tuż.

Monastyr był zaniedbany – kamienne mury wspierały się na potężnych cedrowych belkach. Uwagę przyciągała też niezgrabna dobudówka przy drodze.

– Co to za miejsce?

– Kiedyś odprawiało się tam nabożeństwa, teraz spotykamy się tam na modlitwy przed świtem – wyjaśnił mnich. – Wygląda jak szopa, więc nie miej wygórowanych oczekiwań.

– Mogę tam posprzątać... – zaproponował Szarbel.

– Przyda się. A to jest garaż – Gabriel wskazał sąsiednie pomieszczenie. – Trzymamy w nim stare auto, ale od lat nikt go nie ruszał. Znasz się na samochodach?

– Trochę na elektryce, ale nie na mechanice...

– Cóż, tylko ja tu potrafię prowadzić. Gdyby udało się go ożywić... to byłby cud. – Gabriel nagle spowaźniał. – A cudów potrzeba nam tu najbardziej.

Przeszli obok innych mnichów krzątających się przy kurniku i weszli między rzędy winorośli.

– Wino od nas znane jest nawet za granicą – Gabriel pogłaskał popielate pędy.

– Nie wiem nawet, jak smakuje wino – przyznał Szarbel, płonąć rumieńcem.

– Ja też nie! – odparł wesoło zakonnik. – Ale wszyscy mówią, że nasze jest wyjątkowe.

Chłopak z uwagą obserwował warstwy suchych liści i ziemi, które osłaniały nasady roślin.

– Trzeba sprawdzić, w jakim są stanie i powoli zacząć usuwać te osłony. – Mnich wyciągnął z kieszeni habitu mały sekator. – Pokażę ci, jak to robić.

Słońce weszło w zenit, ciężąc na karku. Dłonie Szarbela stały się szorstkie od zaschniętej ziemi, a plecy zaczęły drętwieć od ciągłego pochylania się nad krzewami. Nagle Gabriel potrząsnął małym dzwonkiem.

– Szarbel! To dotyczy też ciebie! Chodź prędko, bo obiad wystygnie!

Chłopak powoli odłożył narzędzie, zadowolony z wykonanej pracy, po czym ruszył ku monastyrowi. Ze środka dobiegał nęcący zapach jedzenia.

3. Ostatni śnieg

– Kair, Ferez, Adam! Kończcie myć ręce i do stołu! – zawołał Aleksy, rozlewając chochlą parującą zupę.

Igumen, zajmujący miejsce u szczytu stołu, odchrząknął na widok późnialszych, po czym wstał.

– Bracia moi – zaczął uroczyście, wskazując miejsce obok siebie. – Zanim zaczniemy, chciałbym oficjalnie przywitać wśród nas Szarbela. Będzie pomagał w codziennych trudach, bo – jak sami widzicie – starzejemy się. A ja biję w tym rekordy.

Lekki uśmiech przemknął po twarzach zgromadzonych.

– Gabriel otoczy go opieką, ale gdybyście potrzebowali silnych rąk do pomocy, śmiało proście Szarbela. Prawda?

Chłopak pokiwał głową. Część braci odpowiedziała mu spojrzeniem, inni wpatrywali się w swoje miski.

– Pewnie sądziłeś... – igumen uniósł ręce, zataczając nimi szeroki krąg – ...że w tak wielkich murach mieszka z setka braci? A nas jest tylko siedmiu. Z tobą – ośmiu.

Szarbel rozglądał się po skromnej jadalni, licząc puste krzesła przy długim stole. – Czy to już wszyscy? – zapytał cicho.

Aleksy skinął głową, ale Gabriel wskazał palcem na sufit. – Brakuje jeszcze Alberta – mruknął. – Ale on już od lat nie schodzi na dół.

– Albert? To kolejny brat?

– Najstarszy z nas wszystkich – wyjaśnił Aleksy, stawiając na stole dzbanek z wodą. – Rzadko opuszcza swoją celę na piętrze. Mówią, że żyje już bardziej tam niż tutaj. Czasem tylko słychać, jak w nocy przesuwa meble albo coś mruczy do siebie. Nie zdziwi się, jak zobaczysz, że niosę mu tacę na górę.

– Koniec tego gadania – przerwał igumen. – Odmówmy

modlitwę w intencji Szarbela. I Alberta. – Starzec wyciągnął z habitu małe wydanie Biblii. – Wybrałem na dziś ciekawe czytanie. Synu, przeczytaj. To będzie dla nas zaszczyt – dodał, wręczając chłopakowi wolumin.

W kuchni zapadła cisza. Szarbel otworzył księgę na zakładce i długo wpatrywał się w rzędy liter. Czarne znaki tańczyły mu przed oczami, zlewając się w niezrozumiałe kształty. Poczuł na sobie ciężar wzroku wszystkich obecnych.

– Nie wstydz się – zachęcił go starzec.

Chłopak zacisnął palce na okładce, a na jego skroni pojawiła się kropla potu. Igumen, widząc konsternację gościa, delikatnie odebrał mu księgę.

– W ciszy poprośmy świętą Barbarę o wsparcie w naszych codziennych trudach – rzekł łagodnie, ratując go z opresji.

Mnisi pochylili głowy. Gdy skończyli jeść, za oknem zawył wiatr. Deszcz gwałtownie przeszedł w gęstą krupę, a potem w ciężkie płatki śniegu. Aleksy dopadł do drzwi i zaryglował je z całej siły. W kuchni nagle pociemniało.

– Nie bójcie się! To święta Barbara próbuje nam coś powiedzieć! – zawołał Gabriel, zapalając świece.

– Albo to kara za twoje grzechy, zakwasie święty! – odgryzł się Aleksy, wywołując salwę śmiechu.

– Jedzcie i wracajcie do cel – polecił igumen.

Gdy większość braci odeszła, w kuchni zostali tylko Aleksy, Gabriel i Szarbel.

– Igumen mówił, że jest nas ośmiu... – zaczął niepewnie chłopak. – Ale co z tym, który otworzył mi w nocy drzwi? Ten ze szramą na twarzy?

Gabriel i Aleksy wymienili szybkie spojrzenia. – Sprawdzasz, czy nie widziałeś ducha? – mruknął Gabriel bez cienia zwykłej wesołości.

– On tam był – upierał się Szarbel.

- Słyszałem, że masz doświadczenie ze zwierzętami i narzędziami – wtrącił Aleksy, gwałtownie zmieniając temat.
 - Pomagałeś braciom przy studniach i elektryce?
 - Tak. Musieliśmy utrzymać dom.
 - A gdzie oni są teraz?
 - Obaj zostali zaciągnięci do wojska – wyznał cicho chłopak.
- Szarbel wciąż zerkał w stronę ciemnego korytarza, szukając wzrokiem cienia mnicha z nocnej zmiany.

4. Studnia

Szarbel delikatnie uchylił drzwi celi i bosy zszedł na dół. W kuchni, przy otwartych drzwiczkach pieca, siedział Aleksy. Mnich, w okularach zsuniętych na czubek nosa, zapisywał coś w grubym notesie.

– Synku, co ty tu robisz o tej porze?

– Obudziłem się... chciało mi się pić. Chyba byłem bardziej zmęczony, niż myślałem – chłopak uśmiechnął się zawstydzony.

– No i przegapiłem kolację.

– Nie martw się, mam coś dla ciebie. – Mnich wskazał koszyk.

– Drożdżówki z jabłkami.

– Dziękuję. A czy dostanę coś do picia?

– Nie pokazałem ci naszej studni? – Aleksy wstał i wrócił po chwili z dzbankiem wody. – Śmiało. To zdrowe źródło. Legenda mówi, że dawni mieszkańcy zbudowali podziemne kanały od samego morza, ale to pewnie tylko bajki.

Szarbel jednym haustem opróżnił naczynie. Aleksy podał mu latarkę i wskazał drzwi spiżarni. Za nimi kryła się niewielka cembrowina. W powietrzu unosił się tam słodkawy, ciężki zapach.

– To wino – wyjaśnił Aleksy. – Fermentuje. – Mnich rozejrzał się uważnie i dodał cicho: – Nie bój się, nikt tu nikogo nie skrzywdzi.

– Podczas obiadu tak to nie wyglądało...

– Zauważyłeś? – Aleksy westchnął. – Nie jesteśmy przyzwyczajeni do obcych.

– Przez wojnę?

– Głównie. Ale są też inne powody.

– O co właściwie w niej chodzi? W tej wojnie...

Aleksy poprawił okulary i dorzucił drewna do ognia. – Zaczęło się od zamachu w Mieście. Rząd oskarżył bojowników z gór

i wysłał wojsko. Mówili, że to potrwa trzy dni. My wiedzieliśmy, że to kłamstwo.

– Kim byli ci bojownicy?

– Ludzie z północy zawsze żyli po swojemu. Wojsko próbowało ich złamać siłą. Potem przestały przychodzić listy, zniknęli pielgrzymi. Aż w końcu żołnierze dotarli i tutaj. Pytali, żądali, czasem coś zabierali.

– Dlaczego pielgrzymi przestali przychodzić?

– Zaczęli się bać mnichów – szepnął Aleksy. – Tu, na Wzgórzu, każdy z nas ma jakąś ranę, Szarbelu. Nawet jeśli jej nie widzisz. Miałem brata. Też był w seminarium, ale zaciągnął się do oporu. Zginął. Zastrzeliło go wojsko... a może swoi? Nigdy się nie dowiem. Ale rano i tak wstaje. Rozpalam piec. Modłę się i czekam, aż winorośl zakwitnie. No, zmykaj już. Wyśpij się w końcu.

Szarbel podziękował i wrócił do celi. Długo leżał w ciemności, aż nagle usłyszał trzy krótkie uderzenia w ramę okna. Poderwał się. Na podwórzu panowała cisza, ale przy ogrodzie mignął mu jakiś cień. Zasnął dopiero nad ranem.

Śniło mu się, że siedzi w gabinecie igumena. Naprzeciw stała święta Barbara. W zabandażowanych dłoniach trzymała kielich. Poprowadziła go na rozległe patio.

– Wejść do środka – zachęciła, choć jej usta pozostały nieruchome.

Wszedł do niecki nagi. Woda była rześka, ale gdy tylko zanurkował, dno zniknęło. Zaczął rozpaczliwie młócić rękami, lecz coś chwyciło go za kostkę i szarpnęło w głąb. Spojrzył pod siebie. To był mnich. Jego ciało było spalone, a zwęglone palce zaciskały się na nodze Szarbela niczym imadło.

5. Gaj oliwny

– Szarbel! Święty Bogiem upojony! Widzę, że żadna nie przypadła ci do gustu... – rzucił o poranku na powitanie Gabriel, wskazując książki na parapecie.

– Dzień dobry... – chłopak, wyrwany z głębokiego snu, zerwał się z łóżka. – Która godzina?

Promienie słońca, niespotykane mocne jak na tę porę roku, przedzierały się przez brudne szyby, oświetlając tańczące w powietrzu drobinki kurzu.

– Idealna, by zacząć pracę! – Zakonnik postawił na podłodze miskę z wodą i szczotkę.

– Myślałem, że akurat tego nie będę musiał robić... – westchnął Szarbel, patrząc z rezygnacją na szorstkie włosie narzędzia.

– Nie ma tak dobrze. Dziś twoja kolej, mój drogi. Ale zanim zabierzesz się za sprzątanie, pomożesz mi z dostawą.

– Ktoś przyjeżdża?

– Ludzie ze wsi. Może raz w tygodniu dowożą prowiant pod eskortą wojska. Igumen wyprosił dla nich specjalne przepustki. Zaraz znajdę ci jakiś habit. Lepiej, żeby żołnierze widzieli w tobie nowicjusza, a nie cywila.

Szarbel poczuł, jak kark mu sztywnieje. W milczeniu ruszył za mnichem do spiżarni. Do ciężkiego kosza zapakowali tuzin butelek wina i jaja.

– Szybko wskakuj w to. – Gabriel wręczył mu zmechacony, bury strój.

Kilkanaście minut później byli już u stóp Wzgórza. Szarbel sapał, ciągnąc kosz po nierównym gruncie.

– Musimy zejść jeszcze kawałek, tam gdzie kończy się asfalt – wyjaśnił Gabriel. – Dalej im nie wolno podjeżdżać.

Wkrótce z mgły wyłonił się biały samochód terenowy. Wsiadł z niego siwobrody mężczyzna.

– To stary Saliba – szepnął mnich. – O, przyjechał z siostrzenicą.

Pojazd prowadziła młoda kobieta. Gdy wysiadła, słońce wydobyło czerwień z jej kasztanowych włosów. Miała piegowatą twarz i duże oczy, które połyskiwały niczym onyks. Na jej szyi mienił się rubinowy wisiołek. Gabriel i Saliba odeszli na bok, by sfinalizować wymianę. Szarbel został przy aucie.

– Kim jesteś? Jak masz na imię? – rzuciła niespodziewanie dziewczyna, opierając się o drzwi.

– Szarbel... – odparł nieśmiało. – A ty?

– Co, tamten znowu się mnie przestraszył? – zignorowała jego pytanie, zerkając na Gabriela.

– Nie wiem, dlaczego miałby...

– Ci mnisi... – przerwała mu. – Starzy odchodzą, młodzi przychodzą, a nic się nie zmienia. Dlaczego tu jesteś? Po co dałeś się tak zamknąć?

Szarbel milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Czuł się w tym habicie jak przebieraniec.

– Ja tylko pomagam – wydukał w końcu.

Dziewczyna przyjrzała mu się uważniej. W jej spojrzeniu było coś między litością a ciekawością. Otworzyła bagażnik.

– Słaba ta pomoc, skoro stoisz jak słup soli – rzuciła, widząc jego zakłopotanie.

Po przeładowaniu zapasów natychmiast odpaliła silnik. Gdy tylko wuj wsiadł, ruszyła, zostawiając za sobą chmurę spalin. Szarbel i Gabriel ruszyli pod górę.

– Co to za jedna? – zapytał chłopak.

– Ta mała złoźnica? Sara przejęła interes po ojcu młynarzu, który zmarł parę miesięcy temu. Teraz wyprzedaje resztki ziarna.

– Mówiłeś, że będzie wojsko. Gdzie eskorta?

– Racja... – mruknął Gabriel, ocierając pot z czoła. – Widocznie znowu coś się zmieniło.

Zakonnik wyraźnie opadł z sił, choć nic nie niósł.

– Nie mów, że się zmęczyłeś – zażartował Szarbel. – Przecież idziesz na lekko.

– A tobie nie gorąco w tym worku? – odgryzł się mnich.

– Dlaczego jej nie lubisz? – dopytywał chłopak. – Przecież wuj wydaje się w porządku.

– Saliba to winiarz. Od lat próbuje kopiować nasze wino, ale marnie mu to wychodzi. Dlatego bierze je od nas. A co do reszty wsi... unikają nas. Igumen chciał ich przyciągnąć na msze, ale to była katastrofa.

Gabriel wyciągnął z kieszeni skrawek papieru.

– Poczekaj... sprawdź, co tu jest napisane. To lista na następny raz.

Szarbel wziął kartkę do ręki. Obrócił ją raz i drugi. Czarne znaki wiły się na papierze jak martwe robaki.

– Nie potrafię tego przeczytać – szepnął, czując, jak krew uderza mu do policzków.

– Aż tak niewyraźnie nabazgrał? – Gabriel zirytował się i wyrwał mu liścik. – Trudno, spojrzę później, jak znajdę okulary.

– Przepraszam...

– Nie przejmuj się, święty Bogiem upojony. Chodź, odłożymy to i coś ci pokażę.

Gaj oliwny był najlepiej zaplanowaną częścią Wzgórza. Rosło tu może pół setki drzew. O tej porze roku ich szara kora stąpała się z barwą gór, tworząc harmonijny duet, który kontrastował z wiecznie zielonymi liśćmi pokrytymi delikatnym meszkiem. Drzewa zdawały się nie zważać na zimę, łapczywie chwytając każdy promień słońca i przygotowując się do wydania owoców jesienią. Były wyjątkowo dorodne i sięgały kilku metrów wysokości.

Cały gaj, otoczony skałami, sprawiał wrażenie oazy. Osłonięty wysoką skarpą zachęcał do odpoczynku, zwłaszcza że na jednym z największych drzew wisiała szmaciana huśtawka. Wyblakła

i zwietrzała, wyglądała, jakby zawieszono ją tu przed wiekami.

– Latem przygotowywaliśmy pułapki na muszki oliwne, a potem mój dziadek siadał ze mną i czytał mi książki – podjął opowieść Gabriel. – Miał specyficzny gust i na pewno nie były to lektury dla dzieci. To on pokazał mi, że książki mogą przenosić w inne miejsca, kraje, kontynenty... nawet na inne planety.

– Szczególnie na inne planety... – skomentował Szarbel.

Mnich roześmiał się głośno i polecił chłopakowi usiąść na starej huśtawce.

– Powiedz, chodziłeś do szkoły?

– Zacząłem, ale potem ją zamknęto...

– Jeśli chcesz, mogę ci pomóc – zaproponował Gabriel, wyciągając z kieszeni habitu niewielki notatnik obity marszczoną skórą. – Możemy zacząć choćby teraz.

– A jak ty trafiłeś na Wzgórze? – Szarbel obejrzał przedmiot z każdej strony.

– Powiem ci szczerze. – Gabriel podrapał się po karku. – I tak byś się pewnie dowiedział... Dziesięć lat temu przeniesiono mnie tu z seminarium w Mieście. Nie radziłem sobie z nauką Pisma na pamięć, chorałami ani łaciną. Miałem powołanie, ale wolałem książki przygodowe. Ojciec chciał, żebym został kimś ważnym – najlepiej biskupem. Moi bracia poszli inną drogą: jeden został lekarzem, drugi prawnikiem. Ja byłem dla niego rozczarowaniem. W końcu uciekłem z seminarium. Tułałem się po górach i nad morzem, aż skończyły mi się pieniądze. Wróciłem do domu, a ojciec się wściekł i dwa dni później wysłał mnie tutaj. Od tamtej pory nie miałem kontaktu z rodziną.

– A mama? Bracia?

– Ojciec ich ode mnie odciął. Monastyr był wtedy inny – było więcej braci, czasem przyjeżdżał prezbiter odprawić mszę. Potem zaczęły krążyć różne opowieści... – zawahał się. – Pewnie i ty słyszałeś o Wzgórze.

– Tak, ale to raczej bajki dla dzieci – Szarbel przypomniał sobie, jak matki w Mieście straszyły niegrzeczne pociechy: „Jak nie

będziesz słuchać, wyśle cię na Wzgórze”.

– Ale powinieneś wiedzieć coś ważnego o tym miejscu...
– zaczął Gabriel i nagle spowaźniał. Jego wzrok uciekł gdzieś w stronę skał.

– Szarbel! – głos Aleksego przeciął ciszę gaju. Kucharz stał w progu monasteru, wymachując ścierką. – Umyłeś już podłogi? Potrzebuję tej misy, zakwas święty!

6. Wyzwanie

– Obawiałem się, że nie dasz sobie rady, że nie odnajdziesz się tutaj... – mówił łamiącym się głosem igumen na początku spotkania, na które zaprosił Szarbel. – W twoich oczach widziałem przerażenie większe niż u tych, których wcześniej przyjmowałem. A potem przypomniałem sobie własne początki w zakonie. Byłem bardzo podobny do ciebie.

– Jestem wdzięczny, że ojciec dał mi szansę – wyznał Szarbel. – Mam nadzieję, że igumen nie żałuje tej decyzji.

– Jak długo jesteś już z nami? – Starzec spojrzał z troską na chłopaka.

– Blisko miesiąc.

Rzeczywiście, minął prawie miesiąc. Szarbel i Gabriel początkowo pracowali głównie wewnątrz monasteru, zajmując się drobnymi naprawami, czyszczeniem pieca w kuchni i latryn oraz szorowaniem podłóg – czego Szarbel nie znosił najbardziej. Silny zapach mydła marsylskiego o poranku wciąż przyprawiał go o mdłości.

Z czasem, gdy dni stawały się dłuższe, pracy przybywało również na zewnątrz. Trzeba było przygotować ziemię do zasiewu, przycinać drzewa oliwne i zadbać o młode winorośle. Było w tym wszystkim coś kojącego – chłopak czuł ulgę, nie musząc o niczym decydować. Długo nie mógł przywyknąć do wczesnego wstawania, lecz w końcu wpadł w rytm życia klasztornego. Po dwóch tygodniach – choć nikt tego od niego nie wymagał – zaczął od czasu do czasu dołączać do mnichów gromadzących się przed świtem na modlitwie w kaplicy.

Niedziele wyglądały jednak inaczej. Szarbel przeznaczał je na naukę pisania, a w szczególności na kopiowanie prostych tekstów, które co kilka dni podrzucał mu Gabriel. Kreślił w notatniku litery, próbując łączyć je w wyrazy. Najlepiej szło mu to, gdy mógł usiąść na huśtawce w gaju oliwnym. Początkowo mnich pomagał mu codziennie, lecz z czasem ograniczył się do sprawdzania postępów. Zapiski, które na początku wyglądały jak bazgroły dziecka, po kilku tygodniach stały się czytelniejsze. Nauka szła szybko – Szarbel traktował ją jak azyl.

– Czas szybko leci. Jestem z ciebie dumny – skomentował postępy chłopaka igumen. – Wszyscy bracia cieszą się, że tak szybko się odnalazłeś, mimo że warunki tutaj nie są najlepsze.

– Naprawiliśmy też auto – dorzucił Szarbel. – Potrzebujemy tylko benzyny, bo zostało jej niewiele.

– Niech mnie... To ciekawy zbieg okoliczności.

– W jakim sensie?

– Właśnie dowiedzieliśmy się, że to koniec z wizytami chłopów. Wojsko zabroniło im opuszczać wieś.

– To skąd będziemy brać jedzenie?

– Mamy zapasy, przez jakiś czas damy radę. Ale skoro oni nie mogą przyjeżdżać do nas, my moglibyśmy postarać się o przepustki, by zjechać do wsi. I tutaj przydałby się nasz wóz... Aż dziw, że jeszcze działa.

– Czy ojciec chce, by ktoś z nas tam jeździł?

– Z tego, co pamiętam, Gabriel potrafi prowadzić. – Stary mnich zamyślił się, po czym dodał: – Wysłałbym ciebie, ale lepiej, by był to któryś z braci.

– Myślę, że to go ucieszy... – Chłopak próbował zachować powagę, choć głos lekko mu zadrżał. – Wydaje mi się, że dobrze dogaduje się ze starym Salibą.

Igumen wstał zza biurka i podszedł do okna, skąd w milczeniu patrzył na podwórze.

– Świetnie, przekaz Gabrielowi, że będzie miał okazję się wykazać. – Ojciec Szymon uśmiechnął się blado, lecz po chwili jego twarz spoważniała. – Jednak wezwałem cię właściwie w innej sprawie. Jest coś, czym chciałbym, abyś się zajął osobiście. Myślę, że nadajesz się do tego jak nikt inny.

Było już zbyt ciemno, by mógł dostrzec coś więcej niż kołyszące się na wietrze kontury drzew. Pomimo zmęczenia chciał sprawdzić jedną rzecz. W kuchni przy stole siedział Aleksy, zapisując coś w dużym zeszyte. Na widok chłopaka skinął głową i mruknął coś pod nosem.

Rudy pospiesznie ruszył w kierunku ogrodu, odnajdując w ciemności ścieżkę prowadzącą do kurnika. Nie było to trudne – zapach prowadził go sam. Miejsce wyglądało podobnie jak to w jego rodzinnym domu: dwie drewniane budy ustawione obok siebie. Choć były mocno spróchniałe, całość wciąż jakimś cudem się trzymała. Na pomalowanych na biało drzwiach wisiała metalowa kłódka.

Szarbel zajrzał przez szparę. W jednej części doliczył się piętnastu kur, w drugiej zobaczył dwa chude koguty. Ptaki wyczuły obcego i poderwały się niespokojnie, gdacząc i strosząc pióra. Chłopak cofnął się o kilka kroków, by je uspokoić. Było jasne, że kurnik wymaga gruntownego sprzątnięcia, a może nawet remontu. Zaschnięte warstwy odchodów tworzyły twardą skorupę.

„Aż dziw, że mnisi przychodzą tu codziennie po jajka” – pomyślał, zatykając nos. Obchodząc budę dookoła, zastanawiał się, jak ktoś mógłby wyciągać stąd ptaki bez zdejmowania kłódki. I dlaczego w ogóle miałyby to robić. Sparaliżowała go myśl o głodnych żołnierzach, lecz oni przyszliby raczej w biały dzień i kazali mnichom ubić drób. Nie znajdując odpowiedzi, usiadł pod morelą rosnącą wśród suchych maciejek. Noc była cicha, niebo

pełne gwiazd, a jednak – wbrew pozorom – to tylko wzmagало w Szarbelu strach. Wiedział, że to dla niego ważny test, więc obiecał sobie nie spuszczać kurnika z oczu. Oparł głowę o pień i uważnie obserwował okolicę.

Po godzinie, gdy już miał wracać do monasteru, gdzieś z ciemności rozległ się skowyt – krótki, urwany, dziwnie nieludzki. Chłopak poczuł przebiegające po plecach ciarki. Rozejrzał się uważnie, lecz nikogo nie dostrzegł. Wrócił więc po cichu na miejsce, zastanawiając się, dlaczego Gabriel nie zjawił się tego wieczoru z powrotem na Wzgórzu.

„Co, jeśli we wsi zatrzymało go wojsko?” – rozważał zaniepokojony.

Miał ze sobą ilustrowaną książeczkę o świętym Szymonie Słupniku, którą podarował mu mnich. Cieszył się, że będzie miał czym zająć myśli, lecz lektura szybko wydała mu się bezużyteczna. Bardziej przydałoby się jakieś narzędzie do obrony.

Wstał, by poszukać czegoś odpowiedniego w szopie, kiedy jego uwagę przyciągnął szczegół niezwiązany z nocną misją. W jednym z okien monasteru paliło się światło, które rzucało cień dwóch postaci. Szarbel, analizując w pośpiechu układ pomieszczeń, domyślił się, że to cela mnicha, którego spotkał pierwszej nocy na Wzgórzu. Od tamtej pory ani razu go nie widział – ani na modlitwach, ani na obiedzie, ani w ogrodzie.

Udał się do schowka, skąd wyciągnął drewniany trzonek. Z narzędziem w ręku jeszcze raz obszedł kurnik. Wreszcie, zmęczony, usiadł pod drzewem. Chwilę wpatrywał się w księżyc, aż w końcu zasnął.

Rudego obudził hałas dobiegający od strony ptaków. Zanim dotarło do niego, że coś się stało, wszystko znów ucichło.

Z sercem bijącym jak oszalałe pobiegł do kurnika. Odpiął kłódkę i szarpnął drzwiczki – wszystkie kury siedziały stłoczone w kącie, a pośrodku leżały zakrwawione pióra. Szarbel poczuł się zdezorientowany. Szybko przeliczył stado, lecz przestraszone ptaki rozbiegały się i nieustannie gdakały. W końcu, upewniwszy się, że ich liczba się zgadza, odetchnął z ulgą.

7. Nocne czuwanie

– Szarbel! Święty Bogiem upojony! Może powinniśmy lepiej przyjrzeć się temu kurnikowi? – Kolejnego wieczoru pod morelą czekał już Gabriel z koszykiem.

– Skąd o nim wiesz?

– Że ktoś podkrada kury? Od Aleksego...

– Czekałem na ciebie wczoraj, ale wróciłeś chyba bardzo późno.

– To prawda, nad ranem. Miałem problem z... – Mnich zawahał się.

– Z naszą furgonetką? Wiedziałem, że będą z nią kłopoty.

– Nie, Szarbel. Wojsko nie chciało mnie wpuścić z powrotem na Wzgórze.

– Coś ci powiedzieli? Coś ci zrobili? – zaniepokoił się chłopak.

– Nie. Po prostu musiałem poczekać na kogoś wyższego rangą, żeby wydał rozkaz zwolnienia blokady.

– Nie bałeś się?

– W sumie nie wiem... – Gabriel złapał się nagle za brzuch, wykrzywiając twarz.

– Coś się stało?

– Nie, po prostu jestem zmęczony – westchnął, gładząc się po boku. – Ale poczekaj... Nie wiem, czy się ucieszysz, ale mam coś dla ciebie.

– Dla mnie? Co takiego?

– Nie wiem, czy można to nazwać prezentem... – Gabriel wyjął książkę z torby i z lekkim oporem wręczył ją chłopakowi.

– „Atlas naszych ptaków”? – Szarbel przeczytał tytuł i wybuchł śmiechem. – Co to ma być?

– Chciałem znaleźć coś niezbyt trudnego... – tłumaczył się nieporadnie mnich.

– Dzięki, to chyba dla dzieci. Ale dobrze, że o mnie pamiętałeś.

– Ten handlarz miał same książki historyczne, religijne i nudne powieści. Tu przynajmniej są obrazki – dodał zakonnik.

– No dobrze, nie ma co wybrzydzać. Ale następnym razem postaraj się bardziej – roześmiał się chłopak i podał mnichowi rękę, pomagając mu wstać.

– Zaczekaj... Pomódlmy się do świętej Barbary. Powinna nam pomóc.

– Kim właściwie jest ta święta Barbara?

Mnich nie zareagował. Klęknął i coś wyszeptał. Potem obaj obeszl kurnik z przeciwnych stron, szukając śladów. Na próżno – wyglądało to tak, jakby kury znikwały same z siebie. Zrezygnowani i usiedli pod drzewem. Szarbel, spojrzawszy na klasztor, dostrzegł światło w oknie oraz przesuwający się cień.

– Czyj to pokój?

– Gibrana.

– Tego ze szramą na policzku?

– Może to tatuaż? Może blizna? – Gabriel drażnił Szarbela.

– Albo ślad po szwach?

– Szwach? – zdziwił się chłopak.

– Nie wiem, tylko zgadywałem. Może o mało nie zginął na froncie.

– Jak to?

– Oj, Szarbel... – uspokoił go mnich. – Może go po prostu zapytaj.

– Na oczy go nie widziałem od pierwszej nocy.

– No dobra, właściwie nikt z nas – poza igumenem i Alekssem – nie rozmawiał z nim więcej niż kilka razy – przyznał Gabriel.

– Nawet nie wiem, jak naprawdę ma na imię. Każdy, wstępując do zakonu, przybiera nowe imię. Więc jeśli on jest prawdziwym zakonnikiem, musi nazywać się inaczej niż Gibran.

– W takim razie jak ty masz naprawdę na imię?

Gabriel roześmiał się, po czym rozłożył się wygodnie pod drzewem. Z kosza wyciągnął słoik z zupą, dwie bułki oraz butelkę

wina, kładąc je sobie na brzuchu.

– Mówiłeś, że nie pijesz wina – zdziwił się Szarbel.

– Czasami można, szczególnie gdy jest co świętować. Początek wiosny! Chciałem, żebyś spróbował.

Chłopak najpierw powąchał zawartość butelki, a następnie łyknął niewielką ilość.

– Kwaśne, gorzkie... – skrzywił się. – Chyba mi nie smakuje.

Mnich roześmiał się i zakorkował butelkę.

– A wracając do Gibrana... Krążyły tu plotki, że był żołnierzem. Kiedy jeszcze było tu dwóch innych braci, Adam i Tomasz, nazywaliśmy go między sobą „Żołnierzem”. Wyobraź go sobie w mundurze – pasuje, prawda? Nie chodzi tylko o to, jak się porusza. Kiedyś przyjeżdżał tu do niego pewien generał. Zwykle późną nocą. Zawsze długo rozmawiali, czasem we trzech z igumenem. Ale to „Żołnierz” był z nim w przyjacielskich stosunkach. Nikt nie wie, czego chciał ten człowiek, oprócz wina, które zawsze wywoził furgonetką. Igumen był wyraźnie niezadowolony z tych wizyt. Ale od pół roku tego generała tu nie było.

Gabriel przerwał, by wytrzeć usta z kremu pomidorowego.

– A, jeszcze jedno. We wsi plotkowano, że jakiś oficer uciekł z wojska właśnie wtedy, gdy Gibran przybył na Wzgórze. Wspominał o tym ojciec tej młynarki, Saliba. Podobno Gibran musiał go znać. Ale dlaczego trafił akurat tutaj i co go łączy z igumenem? Tego nie wie nikt.

– Ale on w ogóle nie angażuje się w życie klasztorne?

– Nigdy nie przychodzi na posiłki. Czasami rozpoznaje, że jest u siebie tylko po tym, że świeci się światło. Tak jak dzisiaj. Kiedyś sprzątałem u niego. Zdziwiło mnie, jak ascetycznie żyje. U mnie są książki i graty, a tam? Tylko habit, świeckie ubrania i materac na podłodze.

Gabriel nagle urwał i niemal natychmiast zasnął. Szarbel nie mógł znieść jego chrapania, więc wziął zardzewiałą latarkę i raz

jeszcze obszedł kurnik. W oknie Gibrana wciąż paliło się światło.

Nagle ciszę przerwało głośnie poruszenie wśród kur. Szarbel szarpnął Gabriela za ramię, zapalił latarkę i pędem ruszył w stronę jazgotu. Gdy odpiął kłódkę i szarpnął drzwi, uderzył go przeraźliwy odór i chmura piór. Coś ciężkiego przycisnęło mu stopę.

– Złodziej! Biegnie w stronę gaju! – krzyknął Gabriel, który właśnie nadbiegł.

Szarbel rzucił się w pościg, ale kilka metrów dalej stanął jak wryty. W świetle księżyca zobaczył półżywą kurę rzuconą na ziemię.

– Udało ci się go dogonić? – wysapał Gabriel.

– Myślisz, że łatwo dogonić cień? – warknął Szarbel.

Gdy wracali, na parterze klasztoru zapaliło się światło. W drzwiach stanął Aleksy.

– Co to za hałasy? – zawołał srogo.

– Jedna mniej – zameldował Rudy.

– Dobra, chłopaki. Chodźcie zjeść, żeby wam się koszmary nie śniły. Ja do rana przypilnuję kurnika.

Szarbel spojrzał jeszcze raz w stronę gaju oliwnego. Przez ułamek sekundy światło latarki odbiło się od pary zielonych oczu, które natychmiast zniknęły w mroku.

– Lis... – mruknął do siebie.

O poranku pod monastyr nadjechał mały, szary wóz. Wsiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden, około czterdziestoletni, miał na sobie lekko pomięty wojskowy mundur. Drugi, jeszcze nastolatek, ubrany był w białą koszulę, kubrak i granatowe spodnie poplamione smarem.

Obaj rozejrzeli się dookoła. Popatrzyli najpierw na niebo, sprawdzając, czy nie zanosi się na deszcz, a następnie zmierzyli wzrokiem budynek monastynu od fundamentów aż po dach.

– Może przyjechali po wino? – Szarbel zaciągnął na głowę kaptur habitu.

Żołnierz zapukał pięścią we framugę otwartych drzwi. Jego towarzysz oddalił się w stronę pojazdu. Oparł się o blachę, wyciągnął z kieszeni pęsetę i zaczął skubać pojedyncze włosy na pokrytej wypryskami brodzie.

W kilkanaście sekund u wejścia zjawił się Aleksy, który na widok przybysza natychmiast poszedł zawiadomić igumena.

– Coś się dzieje... – stwierdził Gabriel, pojawiając się nagle przy kurniku.

– Znasz ich? – zdziwił się Szarbel. – Po co oni tutaj przyjechali?

– Możemy tylko zgadywać... – zareagował enigmatycznie mnich.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zająć się naszymi kurami – dodał Szarbel, gdy obcy zniknął w zabudowaniach.

– Chcesz je przenieść w inne miejsce? I niby gdzie? – Gabriel rozglądał się niepewnie dookoła. – A poza tym... ja się boję kur – wyznał z oporem. – Szczególnie od czasu, gdy w dzieciństwie dziadek odrąbał jednej głowę, a zwierzę wciąż gońiło mnie po podwórzu.

– Niech sobie biegają, tylko pilnuj, żeby nie uciekły w stronę skarpy. Musimy się uporać z tym piekielnym kurnikiem do południa.

Rudy poszedł do przygotowanych narzędzi, wziął młotek i zaczął rozbijać rozsypujące się panele.

– Co ty robisz? Chcesz zburzyć cały podest?

Chłopak, nie czekając na odpowiedź, zdejmował po kolei spróchniałe deski.

– Podejdz tu i odkładaj je na bok – polecił, podając mnichowi kolejne elementy.

– Co za smród! – wykrzyknął Gabriel, odwracając wzrok.

– Widzisz? Całość jest w opłakanym stanie – ocenił Szarbel.

Pozostała konstrukcja nagle runęła, odsłaniając wykopaną w ziemi norę.

– A więc tędy musiał się ten złodziejaszek przekradać...
– Szarbel skomentował odkrycie. – Zobacz, ten tunel nie jest długi.
– Czyli czyja to robota? – zapytał mnich.
– Nie wiem, może dzikich zwierząt.
– Albert powiedziałby, że duchów zmarłych... – mruknął Gabriel.

Szarbel zmarszczył brwi.

– Co? – wykrzyknął zdziwy. – O czym ty mówisz?

Gabriel tylko głęboko westchnął. W tym momencie kury zaczęły rozchodzić się po okolicy, zmuszając go do biegania w kółko i zaganiania ich w jedno miejsce. Szarbel patrzył na mnicha, wybuchając śmiechem. Gabriel robił przy tym sporo zamieszania – na tyle, by zwrócić uwagę zawsze przestraszonego brata Kaira. Zjawił się też przeraźliwie chudy brat Farez, który widząc zdewastowany kurnik, złapał się za głowę.

– Co tu się stało? Dlaczego zburzyliście kurnik?! – lamentował.

– Spokojnie – przerwał mu Szarbel. – Przynieście jakieś deski, gwoździe i narzędzia. Bracie Kairze, zacznij od szopy. Bracie Farezie, poszukaj czegoś w garażu. Gabriel, pilnuj ptaków!

Chłopak tracił cierpliwość. Nerwowo zakopał odkryty korytarz, a potem z przyniesionych materiałów ułożył solidne podłoże. Do południa postawił nowy kurnik.

– Jutro musimy poszukać stalowej siatki – pokazał z dumą efekt swojej pracy mnichowi. – Wykopiemy wokół kurnika płytką fosę.

– Dobra robota, ale przez to przegapiliśmy moment, kiedy wojskowi opuścili Wzgórze – zmienił temat mnich.

– Ciekawe, o co im chodziło.

– Dowiem się. A teraz muszę wracać do środka. – Gabriel nagle złapał się za głowę.

– Dobrze się czujesz?

– Jasne – wykrztusił. – Dwie nieprzespane noce dają się we znaki. – Ziewnął głośno i odszedł w stronę wejścia.

Gdy Szarbel został sam, ruszył w stronę gaju oliwnego.

Nie dawało mu spokoju, że minionej nocy lis w tym miejscu jakby rozpląnął się w powietrzu. Wśród wysokiej, zeschniętej trawy znalazł czerwono-szare kurze pióro – dowód ostatniej uczty drapieżnika. Tuż obok leżały trzy duże głązy, ułożone nienaturalnie równo, niemal w linii prostej. Na jednym z nich zobaczył wyryty symbol. Chłopak przykucnął i spróbował je poruszyć. Środkowy z nich, mimo swojej wielkości, ustąpił z zaskakującą łatwością, odsłaniając czarną czeluść. Szarbel nachylił się nad otworem. Wejście było na tyle szerokie, że dorosły człowiek mógłby się tam przecisnąć, ale panujący w środku mrok był nieprzenikniony. Poczłł bijący z dołu lodowaty powiew i specyficzny, metaliczny zapach wilgotnej ziemi oraz starego popiołu. Sięgnął po kilka drobnych kamieni i bez zastanowienia puścił je w ciemność. Cisza trwała nienaturalnie długo. Dopiero po kilku sekundach do jego uszu dotarł głuchy odgłos uderzenia o twarde podłoże, a potem seria metalicznych rykoszetów, które niosły się echem coraz głębiej i głębiej, aż w końcu ustały. Szarbel wzdrygnął się i odruchowo cofnął rękę znad krawędzi. „To nie może być zwykła lisia nora” – pomyślał i szybko nasunął głaz z powrotem na miejsce, maskując wejście suchymi liśćmi.

8. Kamień

Niedzielnym popołudniem Szarbel udał się na spacer do gaju oliwnego. Była to pierwsza okazja tego przedwiośnia, by pobyć dłużej na zewnątrz bez watowanych kamizelek, koców i wełnianych czapek. Znał już topografię terenu, ale zimowe, krótkie dni nie dawały mu wcześniej szansy, by dokładnie przyjrzeć się temu, co widać było ze Wzgórza. Na takie słoneczne popołudnie czekał od pierwszego dnia pobytu w monasterze.

Niebo było przejrzyste, dzięki czemu wyraźnie widoczne stały się porozrzucane po pagórkach chatki i kapliczki. Mieszkańcy domów u stóp Wzgórza wciąż musieli grać kości zmrożone długą zimą. Z niektórych kominów buchał brudny dym, tworząc gęste chmury, które z tej wysokości wyglądały jak morskie potwory. Szybko jednak pochłaniał je błękit nieba – niczym morze wciągające wszystko, co nie jest w stanie oprzeć się sile prądów. Między skupiskami domostw wiły się kręte ścieżki, przypominające węże zastygłe w oczekiwaniu na nieostrożną ofiarę. Część z nich niespodziewanie znikła za horyzontem; być może w rzeczywistości ciągnęły się aż do samej linii brzegowej. Szarbel wyteżył wzrok, szukając sposobu, by dostrzec Miasto.

„Czy to możliwe, że widać stąd dom?” – zastanawiał się, patrząc na lekko rozmazane bryły budynków. Z tej perspektywy po raz pierwszy zauważył, że część z nich była podziurawiona od kul. Kiedy już wydawało mu się, że namierzył znajomy obiekt, odkrywał, że nie zgadza się układ ulic lub inne szczegóły. Po pewnym czasie przeszedł na przeciwną stronę Wzgórza. Za gajem oliwnym widok był całkowicie odmienny – rozpościerało się tam

wzniesienie przykryte mieniącym się śniegiem. Stało samotnie i niewzruszenie, od stuleci będąc świadkiem wszystkiego, co działo się w okolicy. Widok ten przynosił ukojenie, czarując kolorami zmieniającymi się w zależności od kąta padania słońca. Cisza wokół była absolutna.

– Słyszałem o twoim ostatnim odkryciu... – Szarbel usłyszał za sobą niski, męski głos.

Chłopak odwrócił się i ku swojemu zdziwieniu zobaczył sylwetkę Gibrana. Mężczyzna siadał właśnie na huśtawce, ulubionym miejscu odpoczynku Szarbela. Ubrany był w ciemne spodnie z kieszeniami na nogawkach, białą koszulę z podwiniętymi rękawami i coś w rodzaju kubraka. Dopiero teraz Szarbel mógł mu się wyraźnie przyjrzeć. Gibran nie był stary, ale jego dojrzałą twarz podkreślały głębokie bruzdy na czole i siwe, wygolone skronie. Na serdecznym palcu lewej ręki nosił grubą złotą obrączkę, a na szyi drewniany krzyżyk na rzemyku.

– Próbowaliśmy tylko złapać złodzieja... – chłopak głęboko wciągnął powietrze.

– I złapaliście? – żołnierz roześmiał się głośno.

– Nie do końca, ale przynajmniej wiemy, dlaczego znikają kury. Naprawiliśmy kurnik i mam nadzieję, że teraz będzie spokój.

– Jesteśmy w górach, dzikie zwierzęta to tutaj codzienność. Szczególnie po tak ciepłej zimie wychodzą w poszukiwaniu jedzenia. Przestają się bać ludzi.

– Hm... – mruknął Szarbel. – Gabriel twierdzi, że to duchy Wzgórza.

Mężczyzna znów się roześmiał.

– Mówiąc o odkryciu, miałem na myśli jaskinię.

Po chwili dodał:

– Nie miałem okazji z tobą porozmawiać, odkąd tu trafiłeś. Pamiętam, że byłeś bardzo przestraszony, gdy otworzyłem ci

drzwi. Mam nadzieję, że cię wtedy nie przeraziłem i że przywykłeś już do życia w klasztorze.

– Miałem w głowie mętlik – zaczął nieporadnie Szarbel.
– Dalej nie do końca się odnalazłem, ale do niektórych rzeczy już przywykłem.

– Gdzie wcześniej mieszkałeś?

– Mieliśmy z mamą dom w Mieście, niedaleko morza. Był tam ogród i kurnik. Dom dzieliliśmy z inną rodziną. Właściciel ponoć zginął na wojnie...

– Masz rodzeństwo?

– Nie, jestem jedynakiem. – Chłopak pokręcił głową, ale po chwili dodał ciszej: – To znaczy... miałem dwóch braci.

Gibran zmrużył oczy.

– I co z nimi? – zapytał szeptem.

– Nie miałem od nich wieści, odkąd poszli walczyć. – Szarbel odwrócił głowę. – Pomagałem w gospodarstwie, sprzedawałem różne rzeczy, żeby nas utrzymać. Większość dzieciaków tak robiła. Lubilem to. Czasem sąsiedzi płacili mi za prace domowe. Hodowaliśmy kozy, kury... Najbardziej nie lubilem momentu, gdy trzeba było te zwierzęta zabijać.

– Czym zajmowała się twoja mama?

– Pracowała w sklepie.

Mnich przełknął ślinę i przez chwilę się zamyślił.

– Jak właściwie do nas trafiłeś?

To pytanie zmroziło chłopaka.

– Możesz mówić śmiało – zachęcił go Gibran. – Wiedzieliśmy, że masz do nas przyjść, tylko nie wiedzieliśmy, kiedy to się stanie.

– Kilka dni przed moim przybyciem przyszedł ktoś od biskupa. Później taki młody prezbiter dał mi instrukcje. Po trzech dniach byłem już tutaj.

– Wiedziałeś, gdzie się ukryć?

– Tak, spędziłem w kryjówce kilka godzin. Miałem czekać na sygnał – czerwone światło w strażnicy. To oznaczało zmianę warty i wolne przejście. Nikt mi nie powiedział, kiedy to nastąpi,

więc cały czas obserwowałem okolicę. Gdy światło się zapaliło, odczekałem chwilę i ruszyłem.

– Nie bałeś się?

– Bałem się, jasne. – Chłopak nerwowo podniósł się z miejsca.

– Nigdy nie robiłem niczego podobnego. Nie wiedziałem, jak się zachować, gdyby mnie złapali. Jako dzieci unikaliśmy żołnierzy jak diabeł święconej wody.

– A jak ci na Wzgórzu?

Szarbel zawahał się.

– Nie wiem... czasem wydaje mi się, że tu nie pasuję.

Żołnierz roześmiał się, co lekko zdenerwowało chłopaka.

– Wzgórze to dobry test. Można się sprawdzić... – Gibran spojrzał na niego tajemniczo. – Słuchaj, czy nie poszedłbyś ze mną i nie pokazał mi tej twojej jaskini?

– Ale co tam jest do oglądania?

– Rozumiem, że jeszcze nikt jej nie widział?

– Myślałem, że Gabriel będzie chciał zobaczyć, ale nie był zainteresowany.

– Możemy iść nawet teraz, ale potrzebujemy latarek – zaskoczył go mnich.

– A planujemy wchodzić do środka?

– Sprawdzimy, jak jest głęboka. Obawiam się tylko, że...

– Gibran urwał w pół zdania.

– Że co?

– Że potrzebujemy też jakichś nakryć głowy. Nie wiemy, jak niski jest strop, no i czy kogoś tam nie spotkamy. Poszukałbyś szybko czegoś w składziku?

Szarbel skinął głową i pobiegł do szopy z narzędziami. Wybrał pordzewiałą miskę oraz wiadro, które mogły służyć za prowizoryczne hełmy. Znalazł też kilka latarek – jedna wciąż działała. Z tym ekwipunkiem wrócił do gaju.

– Dobra robota – ocenił Gibran, uśmiechając się pod nosem na widok wiadra, ale przyjął je, by nie psuć entuzjazmu chłopaka.

– Mnisi sami nie wiedzą, co kryje się w tych zakamarkach.

Prowadź. Uporajmy się z tym przed zmrokiem.

Po chwili stali już u wejścia ukrytego w trawie.

– Przechodziłem tędy wiele razy, ale nigdy nie zwróciłem uwagi na te głazy – przyznał Gibran.

– A co, jeśli będą tam nietoperze? – zaniepokoił się chłopak, spoglądając na rysunek na skale.

– Raczej śpią. Choć w zasadzie wszystko jest możliwe.

– Skąd brat to wie? Brat jest... grotolazem?

– Nie, ale spędziłem sporo czasu w bunkrach – odparł krótko Gibran i z zaskakującą siłą zaczął przesuwac gładz blokujacy wejście.

– Pomogę! – Szarbel doskoczył do kamienia, zapierając się nogami o ziemię.

Gibran uklęknął przy wejściu do jaskini i zbadał dłonią podłozę, chcąc upewnić się, że grunt nie usuwa się pod naciskiem. Ostoja wydawała się stabilna, więc skinął na chłopaka, by ten ruszył za nim.

– Te kamienie ustawiono tak celowo – stwierdził, przyglądając się ich ułożeniu. – Ktoś nie chciał, żeby odkryto to miejsce.

Przetarł pot z czoła, po czym nałożył na głowę wiadro. Okazało się nie tylko zardzewiałe, ale też od strony dna lekko dziurawe.

– Wejde pierwszy. Ty weź latarkę i świec mi drogę od tyłu – poinstruował chłopaka. – Jeśli źle się pocujesz, zaczniesz brakować ci powietrza albo coś się stanie, krzycz od razu.

Szarbel skinął głową i również założył na głowę naczynie znalezione w składziku.

Gibran wszedł do środka na kolanach, jedną ręką przytrzymując wiadro tak, by chroniło głowę, ale nie zasłaniało widoku. Tuż za nim podążał Szarbel. Miska na jego głowie była płytka i leżała stabilnie, dzięki czemu jedną rękę miał wolną, a w drugiej trzymał latarkę, oświetlając korytarz, którym obaj poruszali się na kuckach.

Wciąż było zbyt ciemno, by dostrzec, co znajduje się dalej. Gibran wyciągał więc wolną rękę przed siebie, sprawdzając,

czy nie natrafiają na nagły uskok. Im głębiej się przesuwali, tym przestrzeń bardziej się obniżała, a jednocześnie zyskiwała na szerokości. Z każdym metrem temperatura delikatnie spadała – o ile przy wejściu było parno, o tyle dalej skórę zaczynało chłodzić przyjemne orzeźnienie. W końcu dotarli do większej komory – skalnej sali, w której mogli wstać i wyprostować nogi. W półmroku spojrzeli na siebie, zdziwieni jej rozmiarem. Żołnierz ujął ramię chłopaka i przejął latarkę od chłopaka, oświetlając podłogę oraz ściany.

– Uważaj na stalagmity – ostrzegł Rudego, dostrzegając niskie formacje wyrastające z ziemi.

– Te, które wyglądają jak kamienne miecze? – upewnił się Szarbel.

– Musimy być bardzo ostrożni. Nie wiadomo, jakie niespodziewane rzeczy mogą tu na nas czekać – dodał, rozglądając się za kolejnymi korytarzami.

Szarbel tymczasem przyglądał się strukturze skał. Jego uwagę przyciągnął górny pas skalny, wyraźnie różniący się kolorem. Nieco dalej zauważył coś, co wyglądało jak kapliczka z postacią ludzką pośrodku. W ciemności wszystko jednak, po jakimś czasie, wydawało się tylko mirażem.

– Dobrze się czujesz? Nie brakuje ci powietrza?

– Nie mogłoby być lepiej – odparł, odrywając wzrok od znalezisk.

– Mam wyrzuty sumienia, że cię tu zabrałem. Wybacz, że tego nie przemyślałem.

– Daj spokój. Na Wzgórzu nie ma zbyt wielu rozrywek.

– Jesteśmy pewni? Zawsze możemy zawrócić...

– W stu procentach.

– Dobrze. W takim razie rozejrzyjmy się jeszcze...

W jego głosie brzmiała wyraźna ekscytacja.

– Słyszysz to?

Gibranskupił się na nienaturalnym dźwięku, który przypominał

fale morskie.

– To musi być woda płynąca jakimś korytarzem, ale gdzie dalej, wyżej... – próbował zinterpretować odgłosy mężczyzna, po czym w milczeniu ujął dłoń chłopaka i ruszyli w stronę źródła dźwięku. Poruszali się powoli. Minęli kilka formacji wyglądających jak płytkie, puste studnie oraz słupy łączące podłoże z sufitem. Na końcu komory skręcili w lewo, lecz wąski korytarz okazał się ślepyim zaułkiem. Cofnęli się więc do głównej sali, skąd biegł jeszcze jeden przesmyk.

– Chyba trafiliśmy do podziemnego miasta... – szepnął Szarbel.

Gibran miał już ruszyć dalej, ale nagle zastygł w bezruchu i uniósł otwartą dłoń. Dał Szarbelowi znak, by się zatrzymać. Położył palec na ustach, a chłopak wstrzymał oddech. Żołnierz nasłuchiwał regularnego dźwięku, próbując ustalić, czy to echo. Sygnał powtarzał się w równych odstępach. Po chwili słyszał go już także Szarbel.

– Znam ten dźwięk... – szepnął Gibran. – Wycofujmy się powoli. I uważaj, żeby nie trafić na coś, co mogliśmy przeoczyć.

Metaliczny odgłos stawał się coraz wyraźniejszy. Przy samym wyjściu Szarbel zrozumiał, że to dzwon z klasztornej dzwonnicy, ale jego ton w jaskini brzmiał nienaturalnie nisko i złowrogo.

– Zgaś latarkę – szepnął mężczyzna, przekazując mu przedmiot.
– Wyjdźmy po cichu. Jeden po drugim. A potem schowajmy się za skałą.

Na zewnątrz Gibran delikatnie zdjął wiadro ze swojej głowy, a potem miskę z głowy Szarbela.

– Zanieś nasze kaski i latarkę do szopy. I nie mów nikomu, że mnie spotkałeś. Ani gdzie byliśmy. Nie chciałbym też, żeby przyszło ci do głowy wchodzić tam beze mnie.

– Tak zrobię... – potwierdził chłopak.

– Musimy jeszcze szybko przesunąć kamień na miejsce – dodał żołnierz.

Kiedy uporali się z zadaniem, Gibran złapał Szarbelą za ramię, po czym ruszył szybkim krokiem na tyły monasteru, wybierając ścieżkę prowadzącą ku urwisku. Chłopak został na miejscu, obserwując okolicę i próbując zrozumieć, co tak poruszyło mężczyznę.

Gdy dzwon ucichł, Szarbel wrócił do monasteru. Szybko przemknął obok siedzącego w kuchni Aleksego i udał się na górę. Po drodze dostrzegł coś, co mijał codziennie, a czego do tej pory nie zauważył – niewielkie schody na końcu korytarza. Skierował się ku nim. Po krótkiej chwili wahania postawił stopę na pierwszym stopniu. Drewno wydało głośny, skrzypiący dźwięk, co zmusiło go do zatrzymania się. Budynek pozostawał jednak w ciszy. Poszedł dalej, aż dotarł do starych drzwi. Okazało się, że są zamknięte na klucz. Szarbel wrócił do siebie, lecz przez długi czas nie mógł zasnąć. Wstał, gdy zaczęło świtać. Granatowe niebo ciągle było pełne gwiazd. Kilkakrotnie obszedł teren, zaglądając w okolice kurnika. Przed modlitwami zajrzał do szopy. W kącie dostrzegł mocno zakurzony kask motocyklowy. Znaleźisko wydało mu się osobliwe, ale ucieszył się na myśl, że będzie miał czym zaimponować Gibranowi, gdy znów zejda pod ziemię.

9. Pomazaniec Boży

– Szarbel, czy to ty? – krzyknął z kuchni Aleksy. – Chodź coś zjeść! Wyglądasz na głodnego – roześmiał się mnich.

– Macie szczęście, że ciągle tu jestem, bo jak mnie zabraknie...

Po kuchni rozchodził się zapach cynamonu, goździków i tymianku. Intensywnie pachniało też drożdżowym ciastem z wodą różaną, które Szarbelowi przypomniało smaki dzieciństwa.

– Tylko jeden warunek, pamiętasz? – przypomniał Aleksy.

Szarbel posłusznie złożył ręce i cicho odmówił krótkie błogosławieństwo przed jedzeniem.

– Niech będzie pochwalony! – rozległ się nagle nieznany chłopakowi głos.

– Albert! Na miłość boską! Jak ty tu zszedłeś? – zawołał zdumiony kucharz.

Dziewięćdziesięcioletni zakonnik był bardzo szczupłym, wysokim mężczyzną o sinej cerze. Jego oczodoły były nienaturalnie wklęsłe, a szare tęczęwki wydawały się niemal przezroczyste. Miał na sobie bordowy, zmechacony szlafrok narzucony na błękitną koszulę nocną. Aleksy odruchowo ruszył z pomocą, jednak starzec uniósł dłoń w odmownym geście i sam, powoli, usiadł przy stole.

– Chyba się nie znamy, chłopcze? – zwrócił się do Rudego, głośno chrząkając. – Jak ci na imię?

– Szarbel... – przedstawił się chłopak z lekkim drżeniem w głosie.

– O, to piękne imię. Twój patron to zacna postać – ożywił się starzec.

– Dlaczego chodzisz boso po monastyrze? Zaraz coś złapiesz... – wtrącił się Aleksy. – Mówiłem ci o Szarbelu. Pomaga nam tu we wszystkim.

Stary mnich zignorował uwagę kucharza.

– Ten człowiek robi się z roku na rok coraz bardziej męczący... – mruknął do siebie.

– Oczywiście – odburknął Aleksy. – Jak mnie zabraknie, jeszcze za mną zatęsknisz.

– Czy brat się gdzieś wybiera? – zdziwił się Szarbel. – Ciągłe słyszę, że zaraz go tu nie będzie...

Kucharz roześmiał się i zwrócił do seniora:

– Pójdę ci ogarnąć pokój. Dobrze, braciszku?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, pokręcił głową i wyszedł z kuchni. Albert sięgnął do kieszeni szlafroka i wyjął mały modlitewnik.

– Oto i on. Święty Szarbel – wyszeptał, podając chłopakowi obrazek. – To imię oznacza pomazańca Bożego.

– A co to właściwie znaczy?

– Tyle, że Bóg kogoś wybrał... namaścił do pełnienia ważnej roli. Żeby czuwał lub bronił innych przed grzechem.

Chłopak przyjrzał się postaci o zamyślonym obliczu. Gdy chciał oddać obrazek, starzec chwycił go suchą dłonią za nadgarstek.

– Zatrzymaj go. Módl się do niego w potrzebie. Ja modłę się często... choć już nie tak jak dawniej. Gdy obejmowałem funkcję igumena, było tu dwudziestu zakonników. Mieliśmy z pięciu Szarbeli przez te wszystkie lata – dodał z nostalgią. – Ja wstąpiłem do zakonu jako Jacek.

– Myślałem, że ojciec ma na imię Albert...

– No tak... – roześmiał się mnich, dotykając dłonią łysej głowy. – To imię przyjąłem po przyjeździe w góry, gdy zmarł poprzedni igumen. Nie spodziewałem się, że przeżyję wojnę i dożyję tak sędziwego wieku.

– Dlaczego przestał ojciec być igumenum?

– Nie miałem już siły. Zaczęła rozwijać się choroba...
– Westchnął i szybko zmienił temat. – Święty Szarbel prowadził ascetyczne życie. Pod koniec przeniósł się do pustelni. Do dziś jest dla nas przykładem.

– I dlatego został świętym?

– Tak. Ale też za sprawą cudów. Gdy odszedł, nad jego grobem pojawiła się dziwna łuna. Światło nie zniknęło przez wiele dni, a ciało okazało się nienaruszone...

– Co ty mu znowu opowiadasz? – Aleksy wrócił do kuchni.
– Zostaw chłopaka w spokoju i wracaj do siebie, zanim się przeziębisz.

– Kocham cię, Aleksy! Ale Bóg kocha cię jeszcze bardziej!
– odparł wesoło starzec.

Chłopak pomógł mnichowi dotrzeć do celi. Gdy wracał korytarzem, stąpając ostrożnie na palcach, zza drzwi pokoju Gibrana dobiegł go stłumiony, niski głos. Szarbel zamarł. Po chwili wahania podszedł bliżej i przycisnął ucho do zimnego drewna.

– Podczas twojego wyjazdu znów przyjechał generał Harb...
– Szarbel usłyszał stłumiony głos igumena.

– Co wzięli? – zapytał Gibran.

– Tym razem nic – uspokoił go starzec. – Wszystko zdążyliśmy schować, ale musimy jak najszybciej przenieść zapasy. W zamian jednak sami nam coś przynieśli.

– Co takiego?

– Nakaz. Mamy się wynieść ze Wzgórza.

– Jeśli opuścimy monastyr, a wojsko się tu rozlokuje, nic z niego nie zostanie – westchnął Gibran.

– W zasadzie moglibyśmy liczyć na to, że po tej bitwie wojna się skończy i pozwolą nam wrócić...

– A wytłumaczył, dokąd niby mielibyśmy pójść? – Gibran brzmiał na poirytowanego.

– Nie unoś się. – Igumen oparł plecy o drzwi, przez co jego głos stał się wyraźniejszy dla podsłuchującego chłopaka. – Doskonale wiesz, że nie chodzi im o mury. Powinniśmy trzymać się planu B.

– W takim razie trzeba powiadomić ludzi ze wsi – zgodził się Gibran. – Pomyślę, jak to zrobić.

Szarbel usłyszał szelest rozkładanego papieru, prawdopodobnie mapy.

– Spójrz... – Gibran podniósł głos. – Wioska jest strategicznym punktem. Będą próbowali ją przejąć, żeby przedostać się do doliny, a dalej w stronę morza. Jeśli im się uda, przebiją się do swoich i wygrają wojnę. Nikt nie zostanie oszczędzony.

– A Wzgórze?

– Interesuje ich jako punkt obserwacyjny. Mają tu gotowe kwatery, zapasy i dostęp do wody.

– A twój zwiadowca?

– Nie ma go – zaprzeczył gwałtownie żołnierz. – Odkąd przestał się pojawiać na posterunku, nic nie wiemy. To już dwa tygodnie... i to mi się bardzo nie podoba.

– Ilu ludzi mieszka we wsi?

– Około czterdziestu. Z tuzin gospodarstw. Połowa to starcy.

– Wiesz, ile czasu tam nie byłem? Ze dwadzieścia lat – zamyślił się Szymon. – Długo zajęło mi zrozumienie, że to, co im kiedyś zrobiliśmy, nie było właściwe. Ostatnio nachodzą mnie wyrzuty sumienia. Może nie jest za późno, by naprawić dawne krzywdy.

– To co się stanie z mnichami?

– Zostało nas niewielu. Nie sądzę, by ktokolwiek się nami przejął – stwierdził z rezygnacją starzec. – Chciałbym jedynie naprawić błędy. I jeszcze jedno... Pytali, dlaczego używamy dzwonu, skoro nie ma u nas nabożeństw.

– Musimy rozwiązać ten problem. – Gibran zawiesił głos.

– Dobrze, na koniec jeszcze jedno. Zrobiłeś dla mnie aż za dużo. Co ja mam zrobić dla ciebie?

– Przyjąłem go tutaj, bo uznałem, że tak jest najlepiej. Nie myśl o tym jako o rozliczeniu.

Szarbel zaczął wycofywać się do swojej celi. Nie dosłyszał odpowiedzi, ale drzwi pokoju Gibrana nagle skrzypnęły i głosy stały się wyraźniejsze.

– Zaczekaj! – zawołał Gibran. – Jak Szarbel sobie radzi?

– Jest młody, ale uczy się szybko. Bardzo przypomina mi ciebie.

– Uważaj na niego, szczególnie gdy mnie już tu nie będzie – westchnął Gibran.

W tym samym momencie korytarz przeciął przeraźliwy, wysoki jęk.

– Czy to Gabriel?! – krzyknął igumen.

Obaj wybiegli na korytarz. Szarbel wcisnął się w głąb ciemnej wnęki, nasłuchując hałasów dobiegających z celi mnicha.

10. Saliba

– A gdzie twój śmieszny kolega? – Szarbel usłyszał za plecami kobiecy głos. – Czyżby się czegoś przestraszył?

Gdy odwrócił się gwałtownie, zobaczył dziewczynę o jagodowych oczach.

– Nie... – zająknął się. – Po prostu przyjechałem zamiast Gabriela.

– Czyli on tu jeszcze wróci? – zainteresowała się Sara, mrużąc oczy.

– Trudno powiedzieć... – odparł wymijająco, myśląc o jęku Gabriela, który wciąż brzmiał mu w uszach.

– Dlaczego masz na sobie habit, skoro nie jesteś mnichem? – Dziewczyna zmierzyła go podejrziwym wzrokiem.

– Bo... czy ja ci kiedykolwiek mówiłem, że nim jestem? – zdenerwował się, poprawiając zbyt luźny materiał na ramionach.

– Tak to zrozumiałam. – Sara pogłaskała wisiorek zawieszony na szyi.

Szarbel poczuł się osaczony, więc szybko zmienił temat.

– Słuchaj, muszę coś załatwić. Gdzie znajdę Salibę?

– Prawie każdy ma tu tak na nazwisko. Musisz być bardziej precyzyjny.

– Chodzi mi o twojego wuja.

– To tam, zaraz za młynem. – Wskazała dom oddalony o kilkanaście metrów. – Mogę ci potowarzyszyć.

Sara zapukała do drzwi, a gdy nikt nie odpowiedział, po prostu pchnęła skrzydło i weszła do środka. Wnętrze obite było ciemną boazerią, która pochłaniała resztki dziennego światła. Sara poprowadziła Szarbela do pomieszczenia służącego za składowisko rupieci. Na taborecie w rogu siedział starszy

mężczyzna.

– A, tu się ukrywasz! – zawołała dziewczyna. – Jak ty możesz siedzieć w takich ciemnościach?

Mężczyzna nawet nie drgnął; w skupieniu przyglądał się rurce fermentacyjnej przy dużym gąsiorze.

– A kogóż to mi przyprowadziłaś? Mnicha? – wychrypiął w końcu.

– To Szarbel ze Wzgórza. Ma interes – odparła krótko.

– Nie wyglądasz jak ten wesoły zakonnik... Jak mu tam było?

– Gabriel – odparł Rudy, wyciągając z kieszeni zmiętą kartkę.

– Igumen wysłał mnie, żeby odebrał zaopatrzenie.

Saliba przeczytał listę, mrużąc oczy, po czym z trudem podniósł się z taboretu. Nie mówiąc nic więcej, zniknął w spiżarni.

– Ile masz lat? – zapytała nagle Sara, gdy zostali sami.

– A na ile wyglądam?

– Na smarkacza – roześmiała się, odsłaniając równe zęby.

– Chcesz zobaczyć stary młyn? Należał do mojego taty. Po jego śmierci wszystko stanęło. Właściwie w nim mieszkam.

– Sama w młynie? – zdziwił się Szarbel.

– To takie dziwne? – Sara spojrzała na niego z nagłą niechęcią.

– Jak mi się nudzi, przychodzę do wuja. Chcesz go obejrzyć czy nie?

– Moja przepustka jest ważna jeszcze tylko godzinę. Żołnierz na wjeździe wyznaczył mi czas co do minuty.

– No dobrze. Może następnym razem.

– Prawdopodobnie będę tu przyjeżdżał zamiast Gabriela częściej – dodał chłopak, sam nie wiedząc, dlaczego to mówi.

– A jednak... – rzuciła z tajemniczym uśmiechem.

Saliba wyszedł ze spiżarni, ciągnąc worek ziemniaków i niosąc pakunek pachnący świeżym twarogiem. Szarbel przejął towary, zauważając ciemne plamy wątrobowe na drżących dłoniach starca. Przy wyjściu winiarz podał mu niebieską kopertę.

– Przekaż to igumenowi. Będzie wiedział, czego nam potrzeba.

Chłopak odruchowo chciał podać rękę na pożegnanie, lecz starzec ostentacyjnie zignorował ten gest i wrócił do swoich gąsiorów.

– Odprowadzę go! – zawołała Sara. Przy progu zatrzymała się i ściszyła głos: – Jak na kogoś, kto nie jest mnichem, całkiem dobrze wyglądasz w tym habicie.

– Właściwie to pochodzę z... – zaczął Szarbel, chcąc się wytłumaczyć, ale Sara położyła mu palec na ustach.

– Przyjechałeś z monasteru, masz habit i nie oczekuj, że ludzie będą tu dla ciebie przyjaźni. Rozumiesz?

– Ty nie wydajesz się wroga...

Z wnętrza domu dobiegł zniecierpliwiony głos Saliby: – Sara! Chodź no tutaj!

Dziewczyna uśmiechnęła się ostatni raz, tym razem bez cienia kpin, i zniknęła w ciemnym korytarzu.

11. Dzwonnica

– O, jesteś... – przywitał chłopaka Aleksy, gdy tylko przekroczył próg kuchni. – Mógłbyś pozamiatać kaplicę? Odkąd Gabriel zachorował, nikt tam nie sprzątał.

Szarbel wziął ciężki, kuty klucz i ruszył w stronę nawy. Kaplica była ciemna i duszna. Prosty ołtarz ozdobiło malowidło przedstawiające Chrystusa na tle popielatej chmury, która w tym świetle wyglądała jak dym pożaru. Gdy chłopak postawił wiadro na posadzce, głośny huk rozszedł się echem po pustym wnętrzu. Wtedy usłyszał ciche skomlenie.

W kącie, niemal pod samym ołtarzem, dostrzegł skuloną postać Alberta.

– Co ojciec tu robi? – szepnął przerażony, odstawiając miotłę.

– Musiałem przysnąć... – wyszeptał zakonnik. Jego skóra była trupio blada i zimna jak kamień.

– Drzwi powinny być zamknięte. Jak ojciec tu trafił?

– Nie pamiętam. Przypomnij mi... jak masz na imię?

– Szarbel... – powoli wydukał Rudy, ze spokojem obserwując mnicha. – Może pójde po Aleksego?

– Nie! – Albert uniósł się z niespodziewaną siłą, a jego palce zacisnęły się na habcie chłopaka. – Proszę, nic mu nie mów.

Po chwili dodał:

– Śnili mi się... ci, którzy tutaj spłonęli. Wołali mnie, żebym do nich przyszedł.

– Może jednak pójde po pomoc... – Chłopak cofnął się o krok, czując narastający niepokój.

– On nic nie pomoże. – Głos Alberta zabrzmiał nagle obco,

głęboko. – Wiesz w ogóle, co to za miejsce? Zanim przyszli mnisi, to była ziemia górali. Tutaj palono ciała. Później powstała kaplica. Odebrano im Wzgórze siła.

Starzec chwycił Szarbela za nadgarstek, nie pozwalając mu odejść.

– Przewodziła im kapłanka. Jej modlitwy były jak egzorcyzmy. Wieśniacy wierzyli, że zwierzęta niosą śmierć, a ogień oczyszczenie.

Nagle drzwi kaplicy skrzypnęły i do środka zaczęli wchodzić bracia na wieczorne modlitwy. Albert drgnął. Szybkim ruchem pociągnął chłopaka za ciężką, bordową zasłonę, gdzie ukryte były mosiężne drzwi. Otworzył je starym kluczem i pchnął Szarbela na wąskie, betonowe schody. Biło od nich wilgocią i zapachem starego popiołu.

– Idź prosto... zaraz będziemy na górze.

Z ciemności najwyższej kondygnacji wyłonił się potężny, spizowy dzwon.

– To on? – Szarbel obszedł go dookoła, patrząc na matowy metal.

– Najpiękniejszy. Dziś nie będziemy go budzić. – Albert z niemal czułością dotknął serca dzwonu. – Przychodzę tu, gdy mają dla mnie wiadomość. Duchy.

– Jak ojciec z nimi rozmawia?

– Gładzę dzwon. Jeśli nie słyszę głosów, kołyszę sercem, żeby je obudzić. Dzwonię tylko wtedy, gdy one same chcą rozmawiać.

Z dołu, przez szczeliny w podłodze, dobiegły stłumione śpiewy mnichów. Albert gwałtownie zasłonił Szarbelowi usta dłonią pachnącą kurzem.

– Ciii... Nikt nie może wiedzieć. – Uklęknął przed dzwonem i zamknął oczy. Wyglądał, jakby w jednej chwili zapadał w głęboki sen.

Szarbel odsunął się w stronę wąskiego okna. Widział stąd doskonale gaj oliwny i wejście do jaskini. Czy on mówi poważnie? A może to tylko starcze zwidy? – pomyślał, czując na plecach

dreszcz. Gdy nabożeństwo na dole dobiegło końca, podszedł do starca i delikatnie dotknął jego ramienia.

– Lepiej już zejźmy, ojcze.

Albert podniósł się z kolan, wciąż trzymając chłopaka mocno za przedramię.

– Od razu wiedziałem, że ty to zrozumiesz...

Poprowadził go do ściany dzwonnicy, gdzie pod warstwą tynku ukryte były drewniane drzwiczki. Za nimi znajdowały się tajne schody prowadzące bezpośrednio na piętro mieszkalne monasteru.

– Zaczekaj... – wyszeptał Albert i zniknął w swojej celi. Wrócił po chwili, podając Szarbelowi dwie grube księgi w ciemnoniebieskich oprawkach. – Trzymaj. Mnie już nie będą potrzebne.

12. Gabriel

Zakonnicy znajdowali schronienie w jaskiniach zawieszonych wysoko w górach. Do tych położonych niżej wchodziłi o własnych siłach, do innych musieli się wspinać. Później, kiedy wieść o eremitach zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, kolejni mnisi przybywali już z narzędziami i linami. Jeden z anonimowych kronikarzy zapisał, że grot było tak wiele, iż każdy, kto odważył się na życie w ascezie, znajdował własną celę w skale.

Cierpiętnicy dowiedzieli się o jaskiniach od chłopów, którzy szukali w mieście ratunku. Wsie atakowały dzikie zwierzęta – ginął inwentarz, a starcy szeptali o porywanych dzieciach. Biskup poradził góralom jedynie przyjęcie chrztu, twierdząc, że wtedy kłopot sam zniknie. O przybyszach usłyszał jednak jeden z zakonników. Odnalazł ich i wraz z towarzyszem ruszył do wsi. Zadecydowali, że aby odstraszyć drapieżniki, przy drogach należy ustawić wysokie krzyże.

Metoda okazała się skuteczna. Mnisi postanowili wrócić do monasteru, lecz szlak stał się nieprzejezdny za sprawą potężnej lawiny. Nie mając wyjścia, znaleźli schronienie w pobliskich grotach – początkowo tymczasowo, z czasem na stałe.

Z chłopami żyli w zgodzie. Górale wierzyli, że każdy gość powinien zostać przyjęty z honorami. Mnisi w podzięce nie oczekiwali zapłaty. W lasach rosły dzikie wiśnie i zioła, a w potokach pływały pstrągi. Zakonnicy pościli, nie potrzebowali wiele, ale wdzięczni chłopci i tak przynosili im chleb, śmietanę i mleko.

Z czasem prymitywne ermitaże zastępowano kaplicami. Początkowo

góralom to nie przeszkadzało, zwłaszcza że przybysze nie ingerowali w ich wiarę. A były to wierzenia dla mnichów niezrozumiałe, wręcz niepokojące. Po pierwsze: głównym bóstwem była kobieta, zwana Panią Morza. Po drugie: na jej cześć stawiano wysokie słupy, a na sztych noszono kolorowe figurki przedstawiające boginię. Dla mnichów było to czyste pogaństwo, lecz ich misją nie było nawracanie, a szukanie odosobnienia.

Szarbel zamknął ciężką kronikę i przeniósł wzrok na Gabriela. Oddech mnicha był rżący i ciężki. Czoło miał wilgotne od potu, a policzki nienaturalnie, chorobliwie zaróżowione.

– Jak się czujesz? – zapytał Szarbel, kiedy chory w końcu uchylił powieki.

– Jaki dzisiaj dzień? – Mnich spróbował się poderwać, lecz natychmiast opadł z sił na poduszki.

– Ostrożnie. Żadnych gwałtownych ruchów. Jest czwartek.

Do celi wszedł Gibran, niosąc szklankę z dymiącym naparem. Gabriel skrzywił się i odsunął głowę.

– Pamiętam to z dzieciństwa... – syknął słabo. – Ta sama cuchnąca mikstura.

– To może jesteś głodny? – dopytywał Gibran, ignorując narzekania. – Musisz cokolwiek zjeść.

– Zaraz wstanę... – wyszeptał chory, choć nie był w stanie unieść nawet dłoni.

– Nigdzie się nie ruszysz – uciął żołnierz tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jesteś zbyt słaby.

Twarz Gabriela była tak wychudzona, że kości policzkowe niemal przebijały pergaminową skórę.

– Krzycałeś jakieś imiona przez sen. Pamiętasz je? – Szarbel ujął gorącą dłoń przyjaciela. Zakonnik tylko zacisnął usta i odwrócił wzrok w stronę ściany.

Do celi wszedł igumen. Usiadł nieporadnie przy łóżku i położył dłoń na klatce piersiowej Gabriela. Nakreślił drżący znak krzyża nad jego czołem.

– Gorączka nie ustępuje – szepnął starzec. – Modłę się, by Pan zechciał go ocalić.

– Nie wolno tracić nadziei – odezwał się Gibran, choć jego głos brzmiał głucho. – Jest młody, organizm powinien walczyć.

Szarbel poczuł bolesny skurcz w gardle. A jeśli Bóg naprawdę chce go zabrać?

– Nie możemy zrobić nic więcej? – zapytał z rozpaczą w głosie.

– Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Sami już nie damy rady mu pomóc. – Igumen spojrzał na chłopaka z głębokim smutkiem.

– To znaczy... mamy po prostu patrzeć, jak on odchodzi? – Szarbel otarł łzy rękawem habitu.

– Wołę Boga przyjmujemy w pokorze, synu – odparł starzec.

W celi zapadła ciężka cisza, przerywana jedynie świszczącym, nierównym oddechem Gabriela. Szarbel patrzył na wycieńczonego przyjaciela i czuł, jak wzbiera w nim bunt.

– Nie pozwolę ci umrzeć – wyszeptał do siebie, zaciskając pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w dłonie.

O poranku Szarbel ściągnął zalaminowaną przepustkę i zarzucił na ramiona lekki kożuch.

– Tylko dziś nie spóźnij się na jedzenie... – rzucił Aleksy znad garów. Zaraz jednak wytarł ręce w fartuch i wybiegł za chłopakiem na podwórze. – Ile mamy nieużywanych kanistrów? Sprawdźmy to szybko.

W garażu unosił się ciężki zapach wilgoci i chemikaliów. Aleksy obszedł furgonetkę, zakładając okulary.

– Nieźle wygląda. Widać, że włożyłeś w nią trochę pracy.

– Wystarczyło ją wyczyścić – bąknął Szarbel, przeszukując szafki pod ścianą. Znalazł jeden metalowy kanister. – Dodatkowy powinien być w bagażniku.

– Przywieź w obu benzynę ze wsi – mnich nagle spowaźniał.

– A po co nam aż tyle? Brat chce się uczyć prowadzić?

– Jestem na to za stary. Benzyna będzie potrzebna do czegoś

innego... – Aleksy podrapał się w zamyśleniu po brodzie.
–Poczekaj, przygotowałem coś dla Saliby.

Wrócił po chwili z pakunkiem owiniętym w folię. Prześwitywały przez nią elastyczne wężyki, rurki i ciemne butelki wina. W drugiej ręce niósł kosz jaj, słoiki z oliwkami i suszone rodzynki.

Szarbela we wsi przywitała Sara. Wyglądała, jakby na niego czekała.

– Wujka nie ma? – zapytał chłopak, wyładowując ekwipunek z furgonetki. – Znow się kogoś wystraszył?

– On się nikogo nie boi. Jest u brata – wyjaśniła dziewczyna, zapraszając go gestem do środka.

– Ty nie siedzisz w młynie?

– Pomieszkuję u wujka, choć on nie przepada za tym, gdy ktoś kręci się po domu. Prawdę mówiąc, rzadko tu bywałam. Nawet jako dziecko.

– Dlaczego?

– Tak już było. Odkąd moja mama wyszła za tatę. Ojciec utrzymywał kontakty z ludźmi ze Wzgórza, więc dziadek traktował go jak kogoś obcego, niemal zdrajcę.

Szarbela zdziwiło, że dziewczyna stała się nagle tak otwarta. Rozmowę przerwało głośne trzaśnięcie drzwi. Saliba niespiesznie wszedł do izby. Miał na sobie czystą, lnianą koszulę i bordowe szelki. Siwa broda kontrastowała z lśniąca łyśnią, a oczy wciąż błyszczały intensywnym błękitem. Od razu zainteresował się akcesoriami do wina. Odkręcił jedną z butelek od Aleksego i głęboko wciągnął opar.

– Mnisi znają się na rzeczy – ocenił z niechętnym podziwem.
– Robią dobre wino.

– A myślałam, że to moje jest najlepsze... – zadrwiła Sara.

– Moje jest wyśmienite, ale ich święci lepiej dbają o kompozycję.

– Saliba zwrócił się bezpośrednio do Szarbela. – To kwestia wiatru znad morza. Na tej wysokości idealnie kształtują się taniny.

– Nic nie wiem o winie – odparł szczerze chłopak.

– Może gdy się już nauczysz, zdradzisz mi ich sztuczki? Przez lata doskonalili recepturę. To dzięki niej handlowali i zdobywali to, czego sami nie potrafią wytworzyć. Od nas biorą mąkę, ale to my nauczyliśmy ich kiedyś, jak pielęgnować winorośle.

Saliba zamyślił się, patrząc przez brudne okno w stronę szczytów.

– A co u Marka, wuju? – zmieniła temat Sara, widząc, że starzec odpływa myślami.

– Nieco lepiej, ale obawiam się, że to chwilowe. Jeśli jutro mu się nie polepszy, pojedziemy do szpitala w Mieście.

Na myśl o Mieście Szarbel zastygł na chwilę.

– Możemy jakoś pomóc? – ocknął się po chwili.

– To niemożliwe. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to pomodlić się w kaplicy.

– Czy Szarbel może iść z nami? – zapytała Sara.

– Ty tu rządzisz. – Saliba spojrział surowo na habit gościa. – Ale poczekaj. Przyniosę ci inny strój. Nie możesz się tam tak pokazać. To nie miejsce dla zakonników.

Chłopak uświadomił sobie, że od wielu dni nie zdejmował habitu.

W kaplicy oświetlonej jedynie drżącymi płomieniami świec Szarbel stanął z tyłu. Na ławkach leżały wypłowiałe od słońca siedziska. W kącie, w małych wnękach, dostrzegł kolorowe figurki kobiet – identyczne jak te, które widział w domu Saliby. Niebieskie, żółte, szare.

Sara ukłękła na twardej posadzce, a Saliba podszedł do płytkiej studni wybitej wewnątrz kaplicy, wyciągnął wiadro i wypił kilka łyków wody. Dziewczyna zaczęła intonować pieśń, wybijając miarowy rytm dłonią o udo. Jej mocny, czysty głos mieszał się z łamliwym basem starca. Szarbel nie rozumiał ani jednego słowa w tym obcym, gardłowym języku.

Gdy wyszli na zewnątrz, Saliba tylko skinął głową i odszedł w stronę domu Marka bez słowa pożegnania.

– Nie miej mu za złe. On taki już jest – Sara chwyciła Szarbela za rękę, zatrzymując go przy furgonetce. – No i ta sytuacja z bratem... Wszyscy jesteśmy kłębkami nerwów.

– Mam nadzieję, że mu się poprawi. – Chłopak rozejrzał się i ściszył głos. – Sara, muszę ci coś powiedzieć. Gabriel jest ciężko chory. Od tygodnia leży nieprzytomny. Majaczy, nic nie je. Boję się, że umrze.

– Czym go leczycie?

– Ziołami... i modlitwą.

– Jakimi ziołami? – Sara zaśmiała się krótko i gorzko. – Nie macie na Wzgórzu prawdziwych leków? Tylko te wasze kadzidła?

Przez moment milczała, patrząc na jego zmartwioną twarz, po czym mocniej ścisnęła jego dłoń.

– Nie lubię mnichów, Szarbel. Naprawdę ich nie znoszę. Ale... poszukam czegoś w moich zapasach. Pamiętaj jednak, robię to tylko dla ciebie. Nie dla nich.

13. Przedmieście

– Wreszcie cieplejszy wieczór, nieprawdaż? – rzucił na powitanie Gibran.

Szarbel drgnął, jakby został przyłapany na czymś zakazanym. Nie spodziewał się spotkać nikogo na zewnątrz o tej porze, a już na pewno nie jego.

– Cieplejszy...? – powtórzył chłopak.

– W Mieście pewnie wiosna w pełni... – Gibran rzucił w jego kierunku gruby koc, który wcześniej miał narzucony na plecy.

– Dziękuję, że zaopiekowałeś się Gabrielem, gdy mnie nie było – Szarbel usiadł na gładzie i spojrzał na rozgwieżdżone niebo.

– Podziękowania należą się tobie. To te leki, które przywiozłeś ze wsi, postawiły go na nogi.

Chłopak poczuł rozpierającą pierś dumę. Sara miała rację – zioła i modlitwy to było za mało.

– A ty dlaczego tu siedzisz? – zapytał po chwili Szarbel, przyglądając się mężczyźnie.

– Może ty też się poczęstujesz? – Gibran wyjął z kieszeni niewielkie plastikowe pudełko i sięgnął po papierosa. Zawahał się jednak, widząc minę chłopaka.

– Jeszcze nigdy nie widziałem mnicha palącego papierosy... A może wcale nie jesteś prawdziwym mnichem, tak jak ludzie mówią?

– Ludzie, czyli mnisi? – Gibran uśmiechnął się półgębkiem. – A dokładnie kto? Gabriel? On zawsze miał zbyt bujną wyobraźnię.

– Mężczyzna włożył papierosa z powrotem do pudełka, nie zapalając go.

Chłopak otulił się kocem, czując bijący od jaskini chłód.

– Rozmawiałem z igumenem – przerwał ciszę Gibran.

– Uznaliśmy, że nie ma już sensu ukrywać przed tobą prawdy. Od miesiący próbujemy powstrzymać wojsko przed zajęciem Wzgórza. Każdy chciałby się tu usadowić, bo to idealny punkt strategiczny. Biskupstwo chroniło nas przez jakiś czas, sami też próbowaliśmy różnych wybiegów, ale ostatecznie będziemy musieli ulec ich sile. Jednak ważniejsze od murów monasteru jest coś innego.

– Co takiego?

– Uratowanie wioski. A właściwie jej mieszkańców. Oni nie są niczemu winni.

– Nic z tego nie rozumiem... – przyznał Szarbel, czując, jak serce zaczyna mu bić nierówno.

– Jeśli możemy komuś pomóc, to właśnie im. Dając im schronienie tutaj, na Wzgórzu. Jeśli wojsko będzie chciało przebić się nad morze, najpierw zrówna wioskę z ziemią, by oczyścić sobie drogę.

– Czyli to, o czym mówi się w dolinie, to prawda? Nadchodzi front?

– Tak. Poza tym podejrzewamy, że ktoś musiał przekazać informację, że się tu ukrywam... – Gibran zawiesił głos.

– Wiesz kto?

– Jeden z dawnych informatorów. Albo „kolegów” ze sztabu – Gibran westchnął ciężko. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli usłyszysz tę historię bezpośrednio ode mnie.

Znów wyciągnął papierosa i popatrzył w gęstniejącą ciemność.

– Przez wiele lat byłem generałem. Kariera była dla mnie wszystkim, rzeczą ważniejszą nawet od rodziny, z której zrezygnowałem. Dziś tego żałuję, ale wtedy wydawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi. W ciągu kilkunastu lat doszedłem na sam szczyt. Znałem tajemnice państwowe, podejmowałem decyzje, które decydowały o życiu tysięcy ludzi. Ale z czasem widziałem coraz więcej rzeczy, które budziły we mnie obrzydzenie. Wojna obnażyła wszystko – kto naprawdę chciał pokoju, a komu zależało na tym, by konflikt trwał wiecznie. Kiedy

dostałem rozkaz, który przekraczał wszelkie pojęcie godności, wiedziałem, że muszę odmówić.

– I wtedy trafiłeś tutaj?

– Najpierw trafiłem do aresztu. Uciekłem dzięki nielicznym przyjaciom, którzy czuli to samo co ja. Większość jednak została w systemie. Prowadzili zbyt wygodne życie, mieli zbyt wiele do stracenia. Byli za głęboko uwikłani w swoje gry.

Szarbel słuchał w milczeniu.

– Z częścią wciąż mam kontakt – kontynuował Gibran z cieniem żalu w głosie. – Przez jakiś czas dostarczali mi informacje. Partia jest przekonana, że współpracuję z wrogiem, ale prawda jest taka, że nie jestem już po żadnej stronie. Jestem tym wszystkim śmiertelnie zmęczony. Czasem chciałbym, żeby to się już skończyło, nawet jeśli cena okaże się najwyższa.

– Do czego zmierzasz? – przerwał mu Szarbel.

– Jeśli bywasz we wsi, na pewno wiesz, jak ludzie traktują mnichów. Ale igumen chce ich ocalić. To on stoi za planem sprowadzenia ich tutaj. Szymon od dawna myśli o likwidacji monasteru i oddaniu Wzgórza góralom, by naprawić błędy przeszłości. Próbował kiedyś rozmawiać o tym z biskupem, ale bezskutecznie. Teraz uznał, że wojna to jedyna okazja, by to przeprowadzić.

Gibran rozejrzał się czujnie, jakby obawiał się, że mury mają uszy.

– Chcemy sprowadzić mieszkańców wsi do jaskiń. Jak najszybciej.

– Tutaj? – upewnił się chłopak, wskazując na czarną czeluść za plecami żołnierza.

– Tutaj. Do systemu grot. Tam będą bezpieczni przed ostrzałem.

– A co z nami? Co stanie się z bratem Aleksym, Gabrielem i mną?

– Dla każdego znajdzie się miejsce. Ale będziemy potrzebować twojej pomocy, Szarbelu. Chciałem cię przed tym chronić, bo wciąż jesteś młody, ale nie mamy wyjścia.

– Nie jestem dzieckiem! – zaprotestował chłopak. – Przydam się. Umiem pracować.

– Dobrze – zgodził się po chwili namysłu Gibran.
– Porozmawiam o tym z igumenem. A teraz zmykaj do środka.

Chłopak wrócił do monasteru, stąpając ostrożnie po trzeszczących schodach. Położył się do łóżka, lecz sen nie przychodził. Przez cienkie ściany słyszał dziwne dźwięki – jakby ktoś przesuwał po deskach ciężkie przedmioty.

Nocą budził się kilkakrotnie. Raz wydawało mu się, że słyszy dzwony Alberta, ale gdy nadstawił uszu, dotarł do niego inny dźwięk – stłumiony, niski pomruk przypominający odległy grzmot armaty. Nie wiedział jednak, czy to echo bitwy toczącej się w dolinie, czy tylko kolejna mara senna.

14. Powrót

Podjeżdżając pod dom Saliby, Szarbel natychmiast zauważył Sarę. Siedziała na niskim taborecie przed wejściem. To nie był przypadek – czekała właśnie na niego.

– Szarbel! – krzyknęła i podbiegła do furgonetki, zanim jeszcze zdążył zgasić silnik. Na jej twarzy, zwykle hardej, malował się teraz głęboki niepokój.

– Sara, co tu robisz? Wyglądasz na zmarzniętą... – przywitał ją, wysiadając z auta.

Zamiast odpowiedzi pociągnęła go w stronę szoferki. Weszli do środka, by uciec przed przeszywającym wiatrem. Chłopak zdjął watowaną kamizelkę i narzucił jej na plecy. Dawny, kpiący błysk w jej jagodowych oczach zniknął, zastąpiony przez czysty strach.

– Sara, powiedz mi, co się stało. Wiem, że coś pękło.

W odpowiedzi na krótką chwilę wtuliła się w jego ramiona, szukając oparcia. Gdy jednak odruchowo pogłaskał ją po czole, wyprostowała się gwałtownie i wróciła na swoje miejsce, jakby zawstydzona tą chwilą słabości.

– Kilka dni temu Marek bardzo źle się poczuł. Saliba wziął auto, żeby jak najszybciej zawieźć go do miasta... – wydusiła w końcu, zaciskając pięści na kolanach.

– Udało się wam przebić przez blokady?

– Kiedy dotarliśmy do punktu kontrolnego, żołnierze zażądali przepustki na przejazd w stronę centrum – kontynuowała, wpatrując się w deskę rozdzielczą. – Oczywiście nie mieliśmy takich dokumentów. Z Markiem było już jednak naprawdę źle, musieli to zauważyć nawet ci na posterunku. Słaniał się na rękach brata.

– I co zrobili? Puścili was?

– Kazali nam pomóc przesiąść go do ich transportu. Powiedzieli, że sami zabiorą go do szpitala wojskowego, bo cywilny jest odcięty. Mnie i wujowi kazali natychmiast zawrócić do wsi. Pod lufami karabinów.

– Macie jakieś wieści? Ktokolwiek dzwonił?

– Nie. Od trzech dni cisza... – Głos jej zadrżał. – Martwimy się. Saliba chyba postradał zmysły z tego czekania. Zaszły się gdzieś, nie ma go całymi dniami.

Szarbel milczał, marszcząc czoło.

– Po powrocie poszłam do kaplicy – podjęła Sara drżącym głosem. – Zebrali się tam niemal wszyscy. Ktoś rozpuścił plotkę, że lada dzień ma do nas wkroczyć wojsko, by oczyścić teren pod front. A potem zaczęło się szukanie winnych. Niektórzy zaczęli wskazywać na mnie. Mówili, że to przeze mnie. Że odkąd zaczął tu przyjeżdżać ten młody ze Wzgórza, sprowadziłeś na nas przekleństwo...

– Dlaczego miałoby to mieć jakikolwiek związek ze mną?!

– Szarbel był szczerze wstrząśnięty. – Przecież przywożę wam towary, pomagam!

– Sprawy mające związek ze Wzgórzem są tutaj od wieków przekłete! – wybuchła, odwracając się do niego. – Nie rozumiesz tego? Oni wierzą, że mnisi ukradli tę ziemię i teraz ona się mści. Twoja obecność to dla nich znak, że nieszczęście jest blisko.

– To jakiś absurd! Przecież ja nawet nie jestem mnichem, Sara!

Wypuściła powietrze i na moment obniżyła szybę. Lodowaty podmuch uderzył w ich twarze, rozpraszając ciężką atmosferę w kabinie, po czym szybko przekreśliła korbkę z powrotem. Ten gest nieco ją uspokoił.

– Kobiety ze wsi stanęły w mojej obronie i udało się załagodzić sytuację. Na szczęście był tam też Saliba. Jego wciąż słuchają. Tylko nie wiem, skąd wzięła się ta plotka o wojsku. Ktoś musiał coś widzieć albo usłyszeć.

Wysiadła na chwilę, poszła do domu i wróciła z termosem

oraz dwiema szklankami. Nalała gorącej herbaty, która parowała w zimnym powietrzu. Szarbel dopił swoją do dna, choć była przeraźliwie gorzka. Dopiero wtedy, patrząc na stłoczone, bezbronne domostwa wokół, dotarło do niego to, co mówił Gibran: we wsi rzeczywiście nie było miejsca, w którym ci ludzie mogliby przetrwać ostrzał.

15. Dziedzictwo

Późniejsze księgi wspominają o pewnym biskupie, który – usłyszawszy o kaplicach w grotach – wybrał się w góry, by zobaczyć ermitaże na własne oczy. Na miejscu uznał, że również tam można wznieść monaster dla większej liczby zakonników, którzy prowadziliby misję. Nie minęło pół roku, a osiągnięciem miasta budowniczym pod nadzorem mnichów postawili pierwsze fundamenty. Budowa zajęła niecały rok, a w kolejnym miesiącu urządzono wnętrza i sprowadzono dwudziestu zakonników. Z biegiem czasu stało się pewne, że monaster zostanie włączony w większą strukturę pod kontrolą zwierzchnika. Tak też się stało, lecz jeszcze przez długi czas mnisi nie prowadzili chrystianizacji.

Szarbel zamknął kronikę i zszedł na dół. Tego dnia w monasterze nie było modlitw ani wspólnego śniadania. Od razu poczuł, że ten poranek będzie inny niż wszystkie poprzednie. Przy kuchennym stole zasiedli tylko Gabriel i igumen.

– Jaki jest plan działania? – chłopak starał się zachować powagę, choć w środku drżał.

Starzec stanął za jego krzesłem i położył dłonie na jego ramionach. Szarbel zeszywniał; ten gest nie był zwykłą uprzejmością, lecz ciężkim, ojcowskim uściskiem.

– Wszyscy bracia są już spakowani – odparł igumen spokojnym głosem. – Choć, prawdę mówiąc, niewielu z nas ma tu jakiś dobytek. Paradoksalnie, choć jesteś z nami najkrócej, to chyba ty masz najwięcej rzeczy.

– No... może jeszcze Gabriel – dodał z lekkim uśmiechem starzec.

– Nigdy nie umiałem odmówić, gdy ktoś chciał mi coś dać... – przyznał z nutą zadowolenia zakonnik.

– Czekamy tylko na Gibrana – kontynuował igumen. – Zszedł ze Wzgórza, żeby dopracować plan ewakuacji. Jak wróci, poznamy szczegóły. Wiecie w ogóle, dlaczego zostałem mnichem?

Towarzysze spojrzeli na niego uważnie.

– Gdy dziś sięgam pamięcią, widzę chłopaka bardzo podobnego do Szarbela...

Chłopak spojrział na igumena z żywym zainteresowaniem.

– Wychowywała mnie ciotka, ale po skończeniu szkoły wuj nie chciał mnie już utrzymywać. Rodzina nie była religijna, ale w niedziele wypadało być na mszy czy wziąć udział w procesji. Nasza wioska miała swojego świętego, którego grobem opiekował się ksiądz Antoni. To dzięki niemu trafiłem do zakonu. Często zapraszał mnie do siebie. Jego żona dobrze gotowała i choć nie mieli dzieci, chętnie dzielili się z sierotami tym, co mieli. Patronką ich domu była święta Barbara.

Igumen na moment zamilkł, jakby przywoływał zapach tamtej kuchni.

– Barbara, wbrew woli ojca, przyjęła chrześcijaństwo i zapłaciła za to życiem. Zanim zginęła, więziono ją w wieży i torturowano ogniem, bo nie chciała wyrzec się wiary. A moje imię – Szymon – wzięło się stąd, że ksiądz i jego żona zawsze marzyli o synu, którego nazwaliby właśnie tak. Na cześć Szymona Słupnika, który mówił: „Bracia, znoście wszystkie zgryzoty i niedole, aby uniknąć wiecznej męki”. Dopiero na starość naprawdę to zrozumiałem.

Szarbel przyjrzał mu się z nową uwagą, dostrzegając więź, o której wcześniej nie miał pojęcia.

– A jak ojciec trafił tutaj, na Wzgórze?

– Wydawało mi się wtedy, że to wielkie szczęście – uśmiechnął się gorzko igumen. – Doceniono moje starania. Choć muszę przyznać, że w ciągu ostatnich miesięcy wydarzyło się tu więcej niż przez wszystkie wcześniejsze lata razem wzięte. Nie wiem, jak potoczy się dalej nasze życie, ale wierzę, że nasza obecność tutaj nie była bez znaczenia.

Szarbelowi przyszło do głowy, że brzmi to bardziej jak usprawiedliwienie niż wyjaśnienie.

– Czy ojciec opowie mi kiedyś, jak poznał Gibrana? – zapytał, próbując połączyć fragmenty w całość.

W tym momencie do monasteru wbiegł Gibran. Był spocony, a na jego policzkach wykwitły rumieńce zmęczenia. Igumen kazał Aleksemu zaryglować drzwi, po czym usiadł przy oknie, obserwując ścieżkę. Szarbel podał przybyszowi karafkę wody. Mężczyzna wypił ją jednym haustem.

– Dowiedziałem się, że wczoraj przeprowadzono nalot na wioskę – zaczął Gibran. – A raczej poszukiwania. Szukali jednej osoby. Mnie.

Szarbel po raz pierwszy naprawdę poczuł fizyczny ciężar niebezpieczeństwa.

– Miałem czas, by przemyśleć plan – ciągnął żołnierz. – Pojadę z Szarbelem w stronę wsi. Ja wysiądę w połowie drogi, a ty – zwrócił się do chłopaka – zaczekasz na moment zmiany warty. Staniesz w miejscu, z którego zobaczysz szlaban. Gdy go podniosą, przez kilka minut posterunek będzie niemal pusty. Wtedy wjedziesz.

– Co mam zrobić w wiosce?

– Zgromadzisz mieszkańców w jednym miejscu i będziesz czekał na sygnał. Czerwoną flarę nad Wzgórzem. Jeśli ją zobaczysz, ruszasz natychmiast. Do tego czasu wszyscy muszą być spakowani.

– Skąd weźmiesz flarę? – zdziwił się igumen.

– Mam ją przy sobie – odparł Gibran i wyciągnął niewielki nabój. – Wojsko używa takich do komunikacji, zazwyczaj niebieskich. Gdy upewnię się, że przejście jest wolne, wystrzelę ją w powietrze. Wszyscy to zauważą. To będzie dla nich znak, by opuścić posterunek i przygotować się do zajęcia wioski. Będą myśleć, że to sygnał do ataku z Miasta. W tym chaosie ty, Szarbelu, sprowadzisz ludzi pod Wzgórze i ukryjesz ich między skałami.

– A potem? – chłopak chciał mieć pewność, że plan nie ma luk.

– Potem ruszycie w górę, prosto do jaskiń. Doskonale znasz

drogę.

– A co z samym monasterem? – denerwował się igumen.

– Niech Bóg – jeśli istnieje – ma nas wszystkich w opiece

– Gibran nakreślił w powietrzu szybki znak krzyża.

Szarbel czekał w szoferce, nerwowo obracając kluczyk w stacyjce. Po kwadransie Gibran pojawił się w drzwiach i bez wahania ruszył w stronę auta. Chłopaka uderzył jego wygląd. Mężczyzna nie miał już na sobie habitu. Ubrany w szarą koszulę ze stójką, brązowe spodnie i skórzane buty, wyglądał obco i groźnie. Twarz, pozbawiona zarostu, odsłaniała wyraźną szramę na policzku. Wsiadł do środka i rzucił krótko:

– Możesz odpalać. Jestem gotowy.

– Czy ten plan naprawdę się uda?

– Nie mamy wyjścia – odpowiedział Gibran. – Twoim zadaniem jest wyprowadzić ludzi. Gdyby coś poszło nie tak, w pierwszej kolejności ratuj siebie. Rozumiesz? Mówiłeś, że córka młynarza ci pomoże... spróbuj przemówić jej do rozsądku.

– To rozsądna dziewczyna – zapewnił go Szarbel.

– Ufam ci – odparł krótko i położył dłoń na jego ramieniu.

– Gdybyś mógł znaleźć się teraz w dowolnym miejscu na świecie... gdzie by to było? – rzucił nagle chłopak, próbując odpędzić strach.

– Dlaczego o to pytasz?

– Bo chciałbym mieć maszynę, która przenosi nie w czasie, tylko z miejsca na miejsce... – wyszeptał Szarbel.

Gibran roześmiał się i potargał mu włosy. – To odpowiesz czy nie?

– No dobrze... – spoważniał. – Może zabrzmi to patetycznie, ale jest mi dobrze tu, gdzie jestem. Gdzie indziej mogłaby zerwać się burza albo trzęsienie ziemi. A tu... drzewa się zielenią, przyroda żyje. Nawet jeśli ten pyłek tak męczy Gabriela. Pomyśl, że po prostu jedziemy na piknik nad morze, a ten tobołek to koszyk z jedzeniem. No już, odpal tę swoją maszynę.

Szarbel uruchomił silnik. Furgonetka zaczęła staczać się ze Wzgórza.

– Kiedy zjawiłem się tu zimą, bardzo się ciebie bałem – wyznał po chwili.

– Dlaczego?

– Bo nie wyglądałeś jak mnich. Od razu było widać żołnierza. A ja nie mam do was zaufania.

Gibran uśmiechnął się niezgrabnie. – Ty z kolei wydawałeś się zbyt strachliwy jak na chłopaka z Miasta.

– Serio? To słuchaj, jak nauczyłem się jeździć – Szarbel zerknął na niego wesoło. – Tylko mnie nie zakapuj. Ukradliśmy z bratem stare volvo, które stało zapomniane przy drodze. Brat odpalił je „na krótko”, uczył mnie w zaułkach, żeby mama nie widziała. Jak skończyła się benzyna, po prostu je zostawiliśmy.

Gibran parsknął śmiechem. Nie mógł uwierzyć, że to ten sam przerażony dzieciak, którego poznał pod bramą monasteru.

Dojechali do rozwidlenia, gdzie mężczyzna kazał się zatrzymać. Otworzył drzwi i zamiast uścisnąć dłoń chłopaka, niezdarnie musnął jego skroń, po czym szybko cofnął rękę.

– Bądź dzielny. Pamiętaj o planie. Ty sam... wyrośniesz na dobrego człowieka. Żałuję tylko, że nie spędziliśmy więcej czasu razem.

– A co z tobą? – Szarbel poczuł skurcz w gardle. Wiedział, że to może być ich ostatnie spotkanie.

Gibran wysiadł i bez oglądania się za siebie ruszył ścieżką w stronę lasu. Szarbel odczekał chwilę, po czym skierował się do wsi. Przejechał przez szlaban niemal na bezdechu. Żołnierze ledwo na niego spojrzeli, zbyt zajęci jazdą.

Przy wjeździe do osady czekała Sara. Wskoczyła do auta, zanim jeszcze całkowicie stanęło.

– Przeszukiwali wszystko, Szarbel. Wywracali domy do góry nogami – powiedziała, zdejmując czarną chustę.

– Dzisiaj w nocy musicie stąd uciekać – wyrzucił z siebie chłopak. – Wojsko zajmie wieś jako bazę. Jeśli zostanieie, zginiecie.

– Dokąd mielibyśmy pójść? – Sara patrzyła na niego z powątpiewaniem. – Przecież nie na Wzgórze?

– Sara... – Szarbel złapał ją za ramiona i zmusił, by spojrzała mu w oczy. – Nie ma innego wyjścia. Rano z tej wsi mogą zostać tylko zgliszcza. Ty i Saliba musicie ich przekonać. Teraz.

Sara wzięła chłopaka pod ramię, naciągnęła chustę głębiej na czoło i pchnęła ciężkie drzwi kaplicy. Przy wejściu stał pryszczaty młodzieniec pilnujący porządku. Gdy zobaczył młynarkę, skłonił się lekko i przepuścił ją wraz z towarzyszem do środka.

Wnętrze wypełniało bursztynowe, gęste światło setek świec. Izba – zupełnie inaczej niż podczas poprzedniej wizyty Szarbela – pękała w szwach. Po lewej stronie w milczeniu siedzieli mężczyźni, po prawej kobiety z dziećmi. Jedni trwali w modlitewnym transie, inni naradzali się półgłosem. Szarbelowi ten widok przypominał miejskie kościoły, ale tutaj sacrum miało inny zapach – pachniało dymem i ziemią. W niszach ścian wciąż stały małe posążki Pani Morza, identyczne jak ten, który Sara nosiła na szyi.

Usiedli w ostatnim rzędzie na skrzypiących krzesłach. Sara nagle osunęła się na kolana, niemal dotykając czołem posadzki w głębokim, pokornym pokłonie. Pod osłoną ciężkiej, wełnianej spódnicy jej palce zacisnęły się na łydce Szarbela. Chłopak poczuł gwałtowne, bolesne drżenie bijące z jej ciała. W tej jednej sekundzie zrozumiał, że ta silna dziewczyna, która za chwilę ma wyjść przed tłum i zaryzykować wszystko, szuka w nim jedyne oparcia.

Sara w końcu wstała. Rzuciła mu krótkie, nieprzytomne spojrzenie i ruszyła na podest po północnej stronie kaplicy. Gdy stanęła przed ludźmi, w izbie zapadła głucha cisza. Wszyscy podnieśli się z miejsc, jak nakazywał prastary obyczaj szacunku dla głosu młynarza.

– Moi drodzy! – zaczęła, a jej głos, początkowo drżący, z każdym słowem twardniał. – Cieszę się, że znów jesteśmy razem, choć wiem, że opuszczenie bezpiecznych domów wymagało od was odwagi. Ale w takich chwilach musimy być jednością. Nasz ród nigdy nie kłaniał się grabieżcom. Jestem dumna, że wciąż niesiemy wiarę naszych matek i babek... –zawahała się – które wieki temu przybyły na te ziemie, niosąc ze sobą moc urodzaju.

Zatrzymała się, łapiąc oddech.

– Kiedy przed laty zmuszono nas do opuszczenia Wzgórza i zamieszkania w dolinie, nikt nie wierzył, że przetrwamy. A jednak jesteśmy tu. Ale znów stajemy wobec zagłady. Wczorajsze naloty to tylko zapowiedź. Ta przyszłość nadchodzi bardzo szybko. Może już tej nocy.

Odchrząknęła, a w jej oczach zapłonęła desperacja.

– Jest jednak nadzieja. Po raz pierwszy od pokoleń mamy szansę wrócić na Wzgórze. Do naszego prawdziwego domu.

Na sali zawrzało jak w ulu.

– Urojenia! – krzyknął ktoś z przodu. – Jesteś tyle warta, co twój ojciec! – warknął inny mężczyzna. – On też lubił układać się z obcymi!

Szarbel poczuł falę bezsilności, widząc, jak nienawiść do monasteru oślepia tych ludzi. Część kobiet oburzyła się i zaczęła syczeć na mężczyzn. Wtedy z rogu wstał Saliba. Jego donośny, basowy głos uciszył zebranych: – Uspokójcie się! Pamiętajcie, pod czym dachem stoicie. Dajcie dziewczynie dokończyć!

Sara stała niewzruszona, choć Szarbel widział, jak mocno zaciska palce na krawędzi ambony.

– Rozumiem wasz gniew – mówiła dalej, akcentując każde słowo. – Ale to nie mrzonka. Droga na Wzgórze jest otwarta. Wojsko zajmie wieś rano. Jeśli zostanieie, zapłacicie życiem za te kilka ścian. Powrót na Wzgórze to nie ucieczka. To powrót do grobów naszych przodków, które oni zbeczcześcili swoimi murami! Mnisi przygotowali schronienie i obiecali oddać nam tę ziemię.

Czy oni, modlący się starcy, są gorsi od żołnierzy, którzy wczoraj wyważali wasze drzwi?

Wtedy siwy mężczyzna z drugiego rzędu uniósł dłoń: – Jak mamy przejść? Droga jest zablokowana. Żołnierze nas rozstrzelają na szosie.

Sara spojrzała na Szarbela i skinęła głową. Dopiero teraz odzyskała pełny spokój.

– Mamy dwie godziny – ogłosiła. – Wróćcie do domów, spakujcie tylko to, co uniesiecie. Spotykamy się tutaj o północy. Wtedy ruszymy. Kto nie przyjdzie, zostaje na własną odpowiedzialność.

Mieszkańcy nie odpowiedzieli. W grobowym milczeniu zaczęli opuszczać kaplicę. Sara patrzyła na ich plecy, nie wiedząc, czy faktycznie zobaczy ich tu ponownie. Gdy izba opustoszała, dosiadła się do Saliby, kurczowo trzymając go za dłonie.

Szarbel tymczasem osunął się na podłogę w ciemnym kącie. Wyciągnął kronikę, by zagłuszyć tykanie zegara:

...zmieniło się wraz z objęciem zwierzchnictwa przez nowego biskupa. Jego misją było to, by „biali górale” – jak nazywał mieszkańców Wzgórza – przyjęli chrześcijaństwo. Ci jednak nie akceptowali władzy rzymskich urzędników. Moment przełomu przyniosły wielka susza i wielomiesięczny głód. Aby zapobiec katastrofie, biskup obiecał pomoc w zamian za chrzest. W praktyce zawarto pakt: biskup kazał przymykać oko na kult Pani Morza, pod warunkiem, że chłopci oddadzą monasterowi swoje winnice i receptury na wino. Był jednak jeden punkt, którego górale nigdy nie wybaczyli: monaster wzniesiono bezpośrednio na ich cmentarzysku, więząc duchy przodków pod betonową posadzką...

16. Znak

– Nie zmusisz nikogo do niczego... – westchnął Saliba, gdy Sara i Szarbel wrócili do kaplicy po obchodzie wsi.

– Wiem. Ale musiałam spróbować, przecież wiesz – odparła z żalem dziewczyna. Nagle usłyszała dobiegające z głębi pomieszczenia beczenie owiec.

Widok, który tam zastali, wywołał w Szarbelu zdumienie. Kaplica przestała być miejscem modlitwy. Oprócz ludzi zgromadzono tam zwierzęta. Obok kóz stały psy i koty, a pod ścianami ustawiono klatki z gołębiami.

– Sara, co mamy powiedzieć tym ludziom? – wyszeptał chłopak, bezradnie rozkładając ręce.

– Zostaw to mnie – uspokoił go Saliba.

Starzec podchodził kolejno do rodzin i szeptem przekonywał, by zostawili inwentarz pod jego opieką. Odpowiadał bez wahania, że znajdzie im bezpieczne schronienie, a potem dołączy do nich na Wzgórzu. Kłamał, ale tylko w ten sposób mógł ich wyciszyć.

O świcie większość ludzi przysypiała, oparta o ściany lub ramiona bliskich. Dzieci, zwinięte w kłębek, spały przy piersiach matek. Młodzież nakrywała głowy swetrami, licząc na odrobinę intymności. Od czasu do czasu przez izbę przechodziła fala chrapania, niczym kapela grająca na zmęczonych gardłach.

Tylko Szarbel nie mógł zmrużyć oka. Co kwadrans wychodził przed kaplicę, wypatrując znaku od Gibrana. Wiedział, że akurat on go nie zawiedzie, jednak na niebie nie było śladu flary. Poczł narastający niepokój. Może mu się coś stało? A może źle zrozumiałem instrukcję? Dlaczego nie odpalił flary? A jeśli to

zrobił – czemu jej nie dostrzegłem?

Kiedy zrobiło się całkiem widno, otworzył szeroko drzwi, wpuszczając do środka rześkie powietrze. Jego wzrok od razu powędrował ku Wzgórz. W świetle poranka wydawało się martwe – obojętne na to, czy ktokolwiek tam żyje.

Gdy odwrócił się z powrotem, zobaczył, że ludzie zaczynają się budzić. Sara przeciągnęła się i spojrzała na niego pytająco, ale tylko pokręciła głową. Dziewczyna podniosła się z podłogi i razem wyszli na zewnątrz. Chwyciła jego dłonie.

– Znowu masz lodowate palce...

– Do chłodu można się przyzwyczaić – odparł, ponownie spoglądając w stronę szczytu.

– A jeśli twój żołnierz się pomylił? Może nikt nie chce niszczyć wioski, a ja wysłałam przed wszystkimi na manipulantkę?

– Mało prawdopodobne. Gibran wie, co robi – powiedział, choć sam coraz bardziej w to wątpił. Coś musiało się wydarzyć... Jeśli ruszymy w stronę Wzgórza i trafimy na wojsko, wpadniemy w pułapkę. Jeśli zostaniemy, a oni przyjdą spalić wieś, też nie zdążymy uciec.

Nagle dobiegły ich głosy z wnętrza. – Ej, panna! Ile jeszcze będziemy tu siedzieć?! – krzyknął starszy mężczyzna. – Wracamy do domu! – zawołał ktoś inny.

Sara spojrzała nerwowo na towarzysza. Zanim zdążył odpowiedzieć, uderzyła go pięściami w klatkę piersiową z bezsilnej złości. W tej samej chwili ze Wzgórza rozległ się dźwięk dzwonu. Na moment wszyscy zamarli.

– Co to? – wyszeptała zaskoczona.

– Nie wiem... tego nie było w planie. – Szarbel w kilka sekund pobladł.

Ludzie zaczęli podnosić się z miejsc. – To ten znak? – przeraziła się kobieta w szarej chuście. – Ruszamy już?! – krzyknął młody mężczyzna, opierając się o mównicę.

Do izby wszedł Saliba, który wcześniej odprowadził zwierzęta

do swojego ogrodu. – Wiesz, co oznaczają te dzwony, chłopcze?
– zwrócił się do Szarbela.

– Niestety nie... – odparł bezradnie. – To może być sygnał do drogi albo ostrzeżenie, że przejście jest zamknięte. A może to po prostu Albert...

– I co dalej? – Sara próbowała opanować drżenie głosu.

Szarbel ponownie wyszedł na zewnątrz. Sięgnął do plecaka i wyciągnął kronikę z mapą. Wiem, że jest jeszcze inny sposób, żeby dostać się na górę. Ale nie wiem, gdzie ta droga zaczyna się we wsi...

Rozejrzał się uważnie, szukając ścieżki lub przesmyku. Zamiast tego zauważył na skraju polany rudą sylwetkę. Lis stał nieruchomo z uniesionym pyskiem, obserwując go. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Potem zwierzę odwróciło się i ruszyło w stronę skalistego zbocza.

Chłopak zawahał się, ale coś w tym spojrzeniu kazało mu iść za nim. Lis zniknął za gęstymi zaroślami. Gdy Szarbel tam dotarł, poczuł nagły, chłodny podmuch powietrza bijący pomiędzy kamieni. Odsunął gałęzie osłaniające wejście i dostrzegł ciemną szczelinę prowadzącą w głąb góry.

– Sara, chodź tu! – zawołał, wciąż zdumiony znaleziskiem. Rozejrzał się za lisem, lecz zwierzę rozplynęło się w powietrzu.
– Mam coś!

– Pamiętam to miejsce... – głos Saliby zabrzmiał pewniej, jakby starzec nagle odzyskał siły.

Z wysiłkiem przywoływał wspomnienia o tym, co mówił mu dziadek. To od niego usłyszał o pasażu prowadzącym między skałami, łączącym wieś ze Wzgórzem. Szlak wiódł przez jaskinię, do której wejście, dziś zasypane śmieciami i omijane przez wszystkich, zagrodzono niegdyś zardzewiałą siatką. Czasem tylko zabłąkało się tam młode ciele. Saliba dokładnie zbadał otwór grotu i podzielił ludzi na trzy grupy. Wyznaczył liderów: siebie, Sarę i Szarbela. Chłopak poczuł ciężar odpowiedzialności, choć nikogo nie zdziwił ten wybór. Każdej grupie wręczono latarkę. Ludzie wchodzili

w odstępach, by nie wywołać paniki. Dalej, za przesmykiem, ścieżka pięła się w górę. Pasaż z każdym krokiem zyskiwał na wysokości, aż sklepienie osiągnęło około czterech metrów. Po trzydziestu minutach w oddali zamigotało światło. Saliba, prowadzący pierwszą grupę, wyszedł na zewnątrz i kazał reszcie czekać. Gdy dał znak, opuścili mrok. Tuż przy wyjściu znajdowała się skalna platforma, na której białł mały szkielet gryzonia. Ponieważ półka nie mogła pomieścić czterdziestu osób, ruszyli dalej ku wąwozowi. Wiosenne słońce nadawało popielatym ścianom brunatne refleksy. Dopiero tam grupy połączyły się na odpoczynek. Szarbel oddalił się nieco i spojrział w niebo. Zobaczył jedynie czarne chmury nadciągające od strony morza.

– Jak daleko jeszcze na Wzgórze? – Sara otarła pot z czoła.

– Zgodnie z mapą czeka nas marsz wąwozem dookoła wzniesienia, a potem wspinaczka skrajem... – Próbował skupić się na planie.

– Jeśli urwisko nie będzie zbyt strome, damy radę w kilka godzin – dodał Saliba. – Wyżej skały mogą być śliskie, ale to nie zajmie więcej niż dwie, trzy godziny.

– Dlaczego zdecydował się pan iść z nami? Co zmieniło pana zdanie?

– Nie, nie, kochanieńki... – roześmiał się głośno starzec. – Doprowadzę was na miejsce, żebyście się nie pogubili, a potem wracam do siebie. Do wsi. Tam jest mój dom. Dzieci na mnie czekają.

– Dzieci? – zdziwiła się Sara.

– No... moje winorośle – poprawił się z uśmiechem.

Szarbel znów spojrział w górę. Resztki błękitu zniknęły. Spodziewał się deszczu, ale zamiast niego poczuł zapach. Ciężki i duszący. Czarna mgła zaczęła zalewać szlak między skałami.

– Zakryjcie twarze! – zdążył krzyknąć.

W ciemności rozległ się kaszel i płacz. Chłopak przykucnął,

zasłaniając usta rękawem. Śwad nie ustępował. Poczul paralizującą bezsilność. Czy możesz nam pomóc? – zwrócił się w myślach do swojego patrona. Nie mogę ci nic dać w zamian, ale nie pozostaje mi nic innego, jak liczyć na twój drogowskaz.

Po kilku minutach dym zaczął się przeredzać, choć odór spalinowy przesiąkł ich skórę i ubrania. Szarbel usłyszał głosy kobiet nucących pieśń brzmiącą niczym lament. Sara położyła palec na swoich czarnych od sadzy ustach, dając mu znak, by nie przerywał. Tymczasem jego uwagę przyciągnął Saliba. Leżał bez ruchu na ścieżce.

Szarbel podbiegł do niego. Serce biło, ale oddech był płytki. Zaczął energicznie klepać starca po policzkach. Saliba zakaszłał i otworzył oczy.

– Udało mi się przeżyć? – zażartował. – Mój dziadek mawiał, by do życia podchodzić jak nasze gołębie. Nie przywiązywać się. Cieszyć się tym, co jest. Już wiem, co miał na myśli. Musimy iść dalej – stwierdził, podnosząc się powoli. – Póki jest jasno.

Po godzinie dotarli do wysokiej ściany skalnej. Po lewej szumiał wodospad, po prawej wiodły śliskie schody ku otworowi zawieszonemu cztery metry nad ziemią. Saliba przystanął, próbując uspokoić oddech.

– Nie dam rady się tam wdrapać. Odpocznę, a wy sprawdźcie, czy przejście jest bezpieczne.

Sara i Szarbel weszli do jaskini. Latarki oświetliły wnętrze: zygzakowaty strumień, stalaktyty przypominające gigantyczne żebra i misy mieniące się srebrem. Już mieli wracać, gdy rozległ się dźwięk – jak uderzenie w metal. Sara zakryła dłonią usta chłopaka. Echo niosło męskie głosy, a potem płacz jednej z kobiet ze wsi. Zbiegli w dół. Na kamiennej tafli leżał Saliba. Tym razem nie dawał znaku życia.

– Co powinniśmy zrobić? – spanikował chłopak.

– Pożegnać go tak, jak zawsze – Sara opanowała emocje. – Ale my, nie ty. Ty nie możesz w tym uczestniczyć. Takie są reguły.

– Jakie reguły?

– Byłeś kiedyś na pogrzebie?

– Ostatnio... na pogrzebie mojej mamy – wyszeptał.

Dziewczyna wtuliła się w jego ramiona. – Zróbmy to po mojemu. A ty pomóż mi, docierając jak najszybciej na Wzgórze. Sprawdź drogę.

– Jesteś pewna?

– Nie mam wyboru. – Przeczesła palcami włosy, zostawiając na nich czarne smugi. – Proszę. Znajdź przejście.

17. Święty Bogiem upojony

Szarbel chciał jeszcze raz przyjrzeć się ścieżce wyznaczonej w kronice. Otworzył wolumin, ale okazało się, że księga Alberta z mapami niemal całkowicie przemokła od wilgoci. Szare plamy były pozbawione kształtu i znaczenia.

Wrócił teraz pamięcią do dnia, gdy razem z Gibranem po raz pierwszy wszedł do grotty na Wzgórzu, i do tego, co wtedy zobaczył. Ta jaskinia wyglądała identycznie — panował w niej nawet bardzo podobny zapach. – To nie może być daleko... – próbował dodać sobie otuchy, przemierzając rozległą salę z fantazyjnie uformowanymi skałami.

W ciemności, przełamanej słabym światłem latarki, nie był w stanie dojrzeć końca pierwszej komory. Drogę wyznaczał mu strumień w kształcie nierównego leja, którego nurt przybierał na sile, im głębiej chłopak zapuszczał się w jaskinię. Po przejściu kilkudziesięciu metrów klęknął przy cieku, by opłukać dłonie brudne od popiołu. Woda była chłodna i krystalicznie czysta. Jej odbicia falowały na ścianach, ożywiając ponurą przestrzeń.

Po krótkim odpoczynku ruszył dalej, co kilkanaście kroków badając wnętrze komory. Oświetlał latarką podłogę, ściany i sklepienie. Podczas jednej z takich inspekcji zauważył na kilku stalaktytach wielkie narośla wyglądające jak rozkładające się grzyby. Gdy przyjrzał się im uważniej, dostrzegł, że delikatnie

się poruszają. – To musi być jakieś gniazdo... – mruknął, gdy z ciemności dobiegły ciche jęki.

Nie chcąc zakłócać spokoju mieszkańcom jaskini — zapewne nietoperzom — ruszył dalej w głąb, wierząc, że im szybciej się przez nią przebije, tym prędzej dotrze na Wzgórze. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo zdążył zatęsknić za tym miejscem, mimo że nie było go tam tak krótko. A może to nie była tęsknota za monastylem, lecz niepokój o igumena, Gabriela, Aleksego, Alberta i pozostałych mnichów?

Zaraz potem przyszła mu do głowy inna myśl: A jeśli wojsko już tam było? A jeśli nikt nie zdążył uciec? A jeśli czekają — i tylko on nie potrafi do nich dotrzeć?

Po przejściu kolejnych kilkuset metrów zauważył, że strumień się rozszerza i pogłębia. Woda sięgała mu już do łydek, a z każdym krokiem było jej coraz więcej. Gdy sięgnęła kolan, na wprost niespodziewanie wyrosła ściana stalagmitów. Oświetlił ją latarką, lecz nie dostrzegł żadnego otworu ani przesmyku. Uderzył w nią pięścią, potem spróbował stopą, jednak kamienny mur pozostał niewzruszony. Sytuacja załamała Szarbela — nie widział sposobu, by przedrzeć się dalej. A przecież przejście musiało istnieć, skoro dziadek Saliby z niego korzystał.

Nie poddając się, zaczął centymetr po centymetrze przesuwac dłonią po skalnej kurtynie, czując pod palcami szorstką, mokrą powierzchnię. Ta próba również nie przyniosła rezultatu. Zrezygnowany postanowił zawrócić, przekonany, że musiał przeoczyć właściwą drogę. Cofnął się do miejsca, gdzie strumień znów był płytszy, by rozejrzeć się za innym pasażem lub skalnymi schodami. Niczego jednak nie znalazł.

Wtedy latarka zgasła.

Otworzył przegrodę baterii, chcąc sprawdzić przyczynę, lecz

zrobił to tak niefortunnie, że ogniwo wpadło wprost w szczelinę pomiędzy skałami. Kucnął, próbując je odnaleźć. Ono jednak musiało utkwic gdzieś głęboko, przez co poczuł, że został sam, pogrążony w całkowitej ciemności. – Co mam zrobić? – zamknął oczy, próbując opanować narastające nerwy. Zastanawiał się, jak w takiej sytuacji zachowałby się Gibran. Czy wróciłby po zapasową latarkę? A może znalazłby spokojne miejsce, by odpocząć i ułożyć nowy plan działania? Wiedział jedno: nie chciał już modlić się do świętego Szarbela. Po śmierci Saliby czuł się przez niego zdradzony.

Nie znajdując żadnego rozwiązania, zaczął obracać się wokół własnej osi, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc. I wtedy, ku swojemu zdziwieniu, w głębi jaskini dostrzegł źródło światła. Ciepłe, bursztynowe barwy sugerowały, że mógł to być ogień. Czy wcześniej je przeoczył? A może to ślady zmęczenia? Kucnął, pomasażował skronie i, zamknawszy oczy, wziął głęboki oddech. Pod powiekami — po nieprzespanej nocy i długiej wędrówce — przeskakiwały obrazy i kolory, układając się w kalejdoskopową mozaikę. Myślam wrócił do rodzinnego domu.

W marzeniu siedział w swoim pokoju na łóżku, z którego pościel wietrzyła się na werandzie. Na materacu leżały jego ulubione klocki. Oglądał je jeden po drugim, zastanawiając się, co z nich zbudować. Wiedział, że musi się spieszyć, bo szybko wrócą bracia i nie pozwolą mu dokończyć zabawy. Wstał więc i poszedł do kuchni, gdzie mama na pewno przygotowywała obiad. Zdawało mu się, że czuje zapach tymianku i oliwy, ale kiedy wszedł do pomieszczenia, okazało się puste. Zaczął biegać po domu, wołając: – Mamo! Mamo! Gdzie jesteś? Gdzie się ukrywasz? Odezwij się! Kobieta wyskoczyła zza lodówki, gdzie schowała się, by go przestraszyć.

Szarbel otworzył oczy. Źródło światła w niskim tunelu wciąż było widoczne. Podeszedł do przejścia, przykucnął i zajrzał do środka. – Halo! Jest tam kto...? – zawołał. W odpowiedzi usłyszał jedynie echo. – Co mam zrobić, święty Szarbelu? – mruknął. – Pomóż mi...

Po chwili wahania wsunął nogi w szczelinę i, leżąc na plecach, zaczął przeczołgiwać się naprzód. W końcu opadł z sił i przez moment leżał bezbronny, pozbawiony energii. Tunel na szczęście okazał się krótki — miał około pięciu metrów. Po drugiej stronie wciąż widoczne było światło. Ostrożnie się wyczołgał i stopami zbadał podłoże. Było płaskie, więc energicznie wyskoczył z przejścia. Nie przewidział jednak, że skała okaże się śliska — uderzył ciałem o podłoże, rozcinając przedramię i objając głowę.

Zignorował ból, wstał i przecisnął się między blokami skalnymi. Wkrótce zauważył, że po drugiej stronie płynie strumień. Przeskakiwał między jego brzegami, stąpając po płaskich fragmentach skał i kierując się ku coraz intensywniejszemu światłu.

W końcu usłyszał dźwięki. Nie potrafił jeszcze rozróżnić, czy były to trzaski stawów, szuranie ludzkich ciał, czy ciężkie oddechy. Gdy jednak minął kolejną komorę, ujrzał prowizoryczne haki z zawieszonymi pochodniami, a później dobrze znane twarze.

– Szarbel, święty Bogiem upojony? To ty?! Na miłość boską, jak się tu dostałeś?! – wykrzyknął Gabriel.

Aleksy bez słowa podał Szarbelowi talerz z warzywnym gulaszem. Igumen posadził go przy stole, który wcześniej widział w spiżarni. – Czyli czekają tam na twój powrót? – Mnich wciąż przemywał ranę na ramieniu Szarbela. Pieczenie było ostre, ale

Rudy tylko zacisnął zęby. – Tak się umówiliśmy... – zawiesił głos. Przed chwilą skończył relację z wydarzeń minionego dnia. – Gabriel pójdzie z tobą – oznajmił igumen. Chłopak spojrział na wychudzoną twarz mnicha. – Na pewno jesteś na to gotowy? – Święty Bogiem upojony! – odparł Gabriel i głośno odkaslnął. – Z tobą zawsze.

– Od kiedy tu jesteście? – zmienił temat Szarbel, rozglądając się po wnętrzu grotu. – I gdzie jest Albert? – Zaraz po waszym odjeździe przenieśliśmy tu ostatnie rzeczy. – Aleksy przecierał dłonią czoło, jakby odtwarzał w głowie każdą minutę. – Pomogliśmy wszystkim zejść do jaskini, a potem z Gabrielem wróciliśmy jeszcze na górę. Nie wiedzieliśmy, kiedy się was spodziewać. Przed południem zobaczyłem wojsko. Wtedy zaczęliśmy realizować drugi plan. – Jaki plan? – Postanowiliśmy... – ojciec Szymon zawahał się. – To znaczy... ja postanowiłem podpalić monastyr.

Szarbel wypuścił łyżkę. Zadzwońnię o dno talerza, rozpryskując tłuste krople gulaszu na stół. – Jak to? – głos mu drżał. – Dlaczego? Pomyślał o swojej celi, o zapachu starych desek i rzeczach, które tam zostawił. Wszystko, co miał, stało się popiołem. – Aby nie dostał się w ręce wojska – dodał starzec. – Dlatego potrzebne było tyle benzyny... – Szarbel patrzył na swoje brudne dłonie. Teraz rozumiał, co dźwigał. – Nie chciałem ci o tym mówić. Bałem się, że będziesz protestował – przyznał ojciec Szymon. – Gdy ogień zajął zabudowania, natychmiast zeszlśmy do jaskini. – I wtedy zrozumieliśmy, że coś jest nie tak – dodał Gabriel. – Co się stało? – Usłyszeliśmy dzwon – ciągnął mnich. Głos mu spoważniał. – Nasz dzwon. Ten z wieży. – To musiało być to samo, co słyszeliśmy o świcie we wsi... – I wtedy okazało się, że w jaskini nie było Alberta – wyjaśnił igumen. – Wcześniej nie zauważyliśmy, że nie zszedł z nami.

Szarbelowi zaczęło kręcić się w głowie. Odsunął się od stołu i kucnął w ciemnym kącie grotu. Wydał z siebie krótki, stłumiony

krzyk, który odbił się echem od niskiego sklepienia. Gabriel zamknął oczy i przeżegnał się w milczeniu.

– Później słyszeliśmy już tylko, że wojsko zajęło Wzgórze – dodał ojciec Szymon. – Od tamtej pory siedzimy tu zabarykadowani. Nawet nie zbliżamy się do wyjścia.

– Chciałem sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz, ale igumen mnie powstrzymał – wtrącił Gabriel.

– Jeszcze za wcześnie... – uciał starzec.

– Czyli wojsko zajęło monastyr? – podsumował Szarbel, wciąż oszołomiony.

– Jesteśmy za głęboko, by wiedzieć, co dokładnie się tam dzieje – odparł Gabriel.

– A co z Albertem?

– Modlimy się, żeby zdołał uciec... Z tonu głosu igumena Szarbel wywnioskował jednak, że to mało realne.

– Nie dałeś rady wyjść mu na pomoc? – chłopak zwrócił się do Gabriela.

– Było już za późno. – W głosie mnicha słychać było wyraźny żal.

– Gdybym wyszedł, wszyscy wpadlibyśmy w ręce wojska.

– A Gibran? – głos Szarbela zadrżał. – Nie wrócił na Wzgórze? Stary mnich potarł nerwowo uszy.

– To mało prawdopodobne, byśmy go jeszcze zobaczyli...

– Dlaczego?

– Gibran ukrywał się u nas, pomagał w różnych sprawach – zaczął wyjaśniać Szymon. – Wykorzystaliśmy fakt, że miał wśród wojskowych dawnych znajomych. Przyjeżdżał po wino. Nie on jeden, ale miał w sobie coś... pocziwego. Gdy dowiedzieliśmy się o planach wojska, pomógł nam opracować strategię i poparł pomysł przekazania Wzgórza góralom. Gibran ma wiedzę, zna ludzi. Jeśli trafił w ich ręce, w najgorszym razie skończy w więzieniu. W najlepszym... może wciąż jest wolny. Myślę, że sam musiał oddać się w ich ręce. Wierzył, że w ten sposób zmieni losy wojny – dodał

ciszej.

– Nie wierzę, że to zrobił...

– On miał swoje tajemnice... – westchnął ojciec Szymon.

– Kiedyś zdradził mi, że jego największym błędem było to, że nie wyjechał z rodziną, gdy było jeszcze bezpiecznie.

– Tacy ludzie nie potrafią żyć spokojnie
– dodał Aleksy. – Niespokojny duch.

– Daj znać, jak będziesz gotowy wrócić po mieszkańców wioski... – Gabriel złapał Szarbela za ramię, ale on oddalił się bez słowa.

18. Razem

– Gdy wszyscy zjecie, wybierzemy dla każdej rodziny odpowiednie miejsce – zwrócił się do zgromadzonych igumen, zaraz po tym, jak Szarbel i Gabriel pomogli ostatniej osobie przedostać się do środka. – Jak widzicie, przestrzeni nie brakuje – próbował przywitać przybyszów, choć ludzie z niepokojem obserwowali starca. – Chcemy wam pomóc, ale prosimy o wyrozumiałość. Wojsko wkroczyło na Wzgórze. Nie wiemy, co się tam dzieje, dlatego dla bezpieczeństwa zostaniemy tu przez kilka dni. Może być niewygodnie i ciemno, ale wierzę, że sytuacja wkrótce się zmieni.

– Tego się nie spodziewałam po twoim igumenie – szepnęła do Szarbela Sara. – We wsi mówiono, że to nie jest najprzyjemniejszy...

– Igumen to najłagodniejszy człowiek, jakiego znam – uśmiechnął się Rudy.

– Może jeszcze się do niego przekonam. A jak ty się właściwie czujesz? Nie mieliśmy czasu porozmawiać, odkąd wróciliśmy.

– Jakby ktoś wrzucił mi do głowy cały świat naraz. Ale nie żałuję. – Sara wciąż patrzyła na igumena, po czym przeniosła wzrok na Szarbela. – Co będzie dalej? Zostaniemy na Wzgórze? Czy wrócimy do siebie? Ktoś ma jakąś precyzyjną odpowiedź?

– Nie wiem, ale na pewno powinnaś się teraz położyć.

– Ty też jesteś wyczerpany – zauważyła. – Kiedy się poznaliśmy, byłeś cichy i przestraszony. A dziś prowadzisz ludzi przez jaskinie i ratujesz całą wieś. Wiem, że możesz tego nie rozumieć, ale dla nas śmierć nie jest tragedią. To raczej przejście.

– Gdy będziesz chciała o tym pogadać, wiesz, gdzie mnie znaleźć – zachęcił ją, choć wciąż nie rozumiał jej spokoju po

odejściu Saliby.

Dziewczyna wstała, by pomóc innym, po czym sama zasnęła w niewielkiej szczelinie. Szarbel posiedział przy niej chwilę, a gdy upewnił się, że śpi, ruszył w stronę przełożonego. Po drodze rozejrzał się po nowym schronieniu. Gibran musiał to wszystko zaplanować znacznie wcześniej. Legowiska były osłonięte od zimna i oddalone od strumienia. W zaułkach mogło nocować po kilka osób. Uwagę zwracała przestrzeń wypoczynkowa z poduchami i kocami. Mnisi ulokowali latrynę nad porywistym nurtem, który zabierał nieczystości, a nieco dalej przygotowali miejsce do mycia osłonięte parawanem. Po drugiej stronie znajdowała się prowizoryczna kuchnia: butle gazowe, skrzynki z jajami, zapasy wody, konfitury i zioła.

– Nie sądziłem, że to się uda... – wyznał igumenowi.

– Najważniejsze, że wszyscy są bezpieczni. – Starzec położył dłoń na ramieniu chłopaka. – Pomodlisz się ze mną za Salibę? Nie modlę się, bo wierzę w cud, ale nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

Igumen sięgnął po stary modlitewnik i uklęknął twarzą do skały. Szarbel zawahał się, ale ostatecznie udał się na swoje posłanie.

Pierwsza noc była trudna. Echo niosło każdy szept, płacz dzieci i chrapanie starszych. Najczęściej powtarzało się jedno pytanie: „Czy będziemy mieli dokąd wracać?”.

– Nie śpisz? – szepnął Szarbel do Gabriela.

– Jak tu spać? To jak mój pierwszy nowicjat, spaliśmy we dwudziestu w jednej sali.

– Martwiłem się o ciebie.

– Niepotrzebnie. Miałem czas, żeby przemyśleć sprawy. Jeśli stąd wyjdziemy, będę chciał odnaleźć moją rodzinę... – wyznał Gabriel, chwytając chłopaka za ramię. – Może przebywanie z tymi

ludźmi coś we mnie zmieniło. Zresztą widzę, że ty zmieniłeś się bardziej.

– Nadal się boję. – Szarbel spuścił wzrok.

– I bardzo dobrze. To znaczy, że ci zależy.

– Nie chciałbym, żebyśmy się kiedyś rozdzielili... – posmutniał chłopak. Mnich nie odpowiedział, tylko mocniej ścisnął jego dłoń.

O świcie obudził ich potężny wstrząs. Burza? Przemarsz wojsk? Czółgi niszczące monaster? – zastanawiał się Szarbel. Dzieci zaczęły płakać, a matki tuliły je do piersi, próbując zagłuszyć strach. Po pół godzinie dźwięki ucichły.

Kolejne dni stały się rutyną. Mnisi zorganizowali gry w tryktraka i wyznaczili dyżury. Aleksy pilnował segregacji śmieci i czystości w kuchni, a Gabriel strofował nastolatków, by nie zapuszczali się w mroczne korytarze. Jednak po dwóch tygodniach brak światła zaczął doskwierać wszystkim. Grupa mężczyzn zaczęła domagać się wyjścia, grożąc strajkiem głodowym. Sara i mnisi pozwolili sześciu z nich ruszyć w stronę wsi starym pasażem. Wrócili szybko – przejście było całkowicie zalane. Od tamtej pory głosy o buncie zamilkły.

– Nie dziwi cię ten spokój? – zapytała Sara.

– Sam z chęcią już bym stąd wyszedł. Znow chciałbym być tam, na górze...

– Właściwie nigdy nie opowiedziałeś mi, jak trafiłeś na Wzgórze. Co taki prosty chłopak robił w miejscu, które wszyscy uważają za przekłete?

– Wcześniej byłem u księży w Mieście. Powiedzieli mi, że mnisi szukają pomocy. Miałem dwóch braci, obaj poszli walczyć, gdy skończyli szesnaście lat. Ja zostałem z mamą. Po jej śmierci zjawił się ktoś od biskupa.

– A twój tata?

– Też poszedł na wojnę. Tak dawno temu, że go nie pamiętam. Zostawił mnie z mamą i braćmi. Mieszkaliśmy w domu,

z którego do plaży było może dziesięć minut drogi. W zasadzie to tam spędzaliśmy większość czasu. A potem któregoś dnia plaża została zaminowana i mama zabroniła nam tam chodzić. Ze skałek za domem tylko oglądaliśmy przyptywy i odpływy, a czasami przepływające w oddali statki. Przez lata marzyliśmy, żeby móc znów wejść do wody.

Szarbel przerwał opowieść i spojrzał na dziewczynę:
– Byłaś kiedyś nad morzem?

– Tak, kiedyś jeździliśmy z tatą na plażę niedaleko wsi. Ale ciężko było tam pływać. W wodzie były skały, które kaleczyły stopy. Zakładaliśmy więc takie śmieszne gumowe buty. Jak wspominam to teraz, wydaje mi się, że było to coś wspaniałego, do czego chciałabym wrócić. Ale wtedy nienawidziłam tam jeździć – pamiętam pokaleczone stopy i straszny gorąc. Nie cierpiałam też strojów kąpielowych – tego, jak nasiąkały wodą – roześmiała się, a jej głos odbił się od skał. W oddali usłyszeli, jak matka strofuje dziecko, by nie chlapało się w wodzie.

– Tęsknisz za swoją mamą? – zapytała Sara.

Pytanie zaskoczyło Szarbela. – Ostatnie dni były najgorsze – odpowiedział po chwili. – Kiedy już nie mogliśmy się widywać, a jak ją zabierali, wyglądała bardzo źle. Strasznie schudła, a jej twarz stała się trupio blada. W nocy tylko krzyczała, a ja zakrywałem sobie uszy rękami, drąc się w poduszkę, jakbym chciał ją przekrzyknąć. Stałem później dzień i noc pod szpitalem, bo nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Jak wchodziłem, zaraz przychodzili jacyś ludzie i kazali mi się wynosić. A ja nie wiedziałem, co robić...

Wziął głęboki oddech.

– Po całym dniu wróciłem w końcu do domu. Siedziałem w oknie, patrząc, czy nie przywożą mamy z powrotem. Myślałem, że wróci zdrowa – taka jak dawniej: z upiętymi rudymi włosami, czerwonymi ustami w jej smutnym uśmiechu, dużymi piwnymi oczami. W którejś z letnich sukienek – czarnej, mieniającej się z każdym krokiem, a może granatowej w białe maki? Ale to się nigdy nie wydarzyło... Byłem jak sparaliżowany. Prawie nic

nie jadłem, choć w lodówce wciąż były resztki, które zdążyła ugotować.

Sara słuchała w milczeniu, nie przerywając tej spowiedzi.

– Chyba nie mówiłem ci, że musiałem zarabiać na jedzenie, odkąd mama przestała pracować? W domu panowała śmiertelna cisza. Kiedy już udało mi się zasnąć, nie wiedziałem, czy to sen, czy jawa. Dopiero po trzech dniach zjawił się młody mnich. Zapukał do drzwi i powiedział, żebym się spakował, bo mama przez dłuższy czas nie wróci. I że wysłał go ktoś od biskupa. Przenocowałem dwie noce w jakiejś zimnej celi. Monastyr był ogromny, ciemny, śmierdziało wilgocią. Dziwne, że nie widziałem w nim żadnych mnichów, ale mogłem swobodnie wychodzić do ogrodu z fontanną. Nie było tam nic do roboty. Po dwóch dniach inny mnich przyszedł powiedzieć mi o pogrzebie mamy. Miał być następnego dnia.

Chłopak na moment przymknął oczy, jakby znów stał nad grobem.

– Rano brat obudził mnie i zabrał na cmentarz. Pogrzeb był bardzo bezosobowy – ksiądz odprawiał go w pośpiechu. Oprócz mnie były tam tylko dwie nieznane osoby. Mnich położył na grobie skromny wieniec z imieniem mojej mamy – Maria. I tyle. Nie zostaliśmy dłużej, bo zaczął padać deszcz. Wróciliśmy do monastynu, gdzie powiedziano mi, że wysyłają mnie na Wzgórze. Dali mi dwie godziny na przygotowanie rzeczy, ale nie miałem nic swojego. I tak trafiłem do igumena.

– Skąd oni wiedzieli, że twoja mama umarła? I dlaczego akurat księża? – spytała Sara.

– Nie mam pojęcia. Nie pytałem. Byłem przerażony. W sumie zapowiedź, że nie zostanę w Mieście, była dla mnie ulgą, bo tamto miejsce mnie przerażało. Na Wzgórze poznałem Gabriela, który stał się moim najlepszym przyjacielem...

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego tak bardzo go cenisz – przerwała Sara.

– Bo bardzo mi pomógł... Wstyd mi się do tego przyznać,

ale kiedy tu dotarłem, nie potrafiłem ani czytać, ani pisać. Nie skończyłem żadnej szkoły – w czasie wojny nikt się tym nie przejmował. A tutaj Gabriel nie tylko się z tego nie śmiał, ale pomógł mi w nauce. Dzięki niemu zacząłem odkrywać nowe światy.

Sara przytaknęła. Jej oczy błyszczały od światła pochodni, odbijając sylwetkę Aleksego, który pomagał kobiecie z wioski gotować ryż.

– Na Wzgórzu poznałem też Gibrana. To właściwie on wymyślił, żebyśmy ukryli się tutaj.

– Nie ma go tu. Nie wiem, co się z nim stało. Miał oddać się w ich ręce, żeby nas nie tknęli, ale coś mi się nie zgadza... Nigdy nie dostaliśmy od niego sygnału. Pamiętasz, jak czekaliśmy w kaplicy? Nigdy nie odpalił tej racy...

– Co się mogło z nim stać?

– Nie wiem. Im więcej czasu mija, tym trudniej mi uwierzyć, że można tak po prostu zniknąć... – Szarbel zawahał się. – Ja i tak nie wierzę żadnym mnichom, w przebraniu żołnierza czy nie... – odparła z uporem dziewczyna. Rudy poczuł nagłe ukłucie. – Jestem wdzięczna za to, co robią, ale gdyby nie ty, na pewno byśmy tu nie trafili...

– Mówiłem ci, że on nie był mnichem. To wojskowy, który zdezerterował...

– Wiem, ale te wszystkie historie o mnichach ze Wzgórza są dziwne... – mruknęła. – Gibran to człowiek-zagadka. Nie potrafię ci nic o nim powiedzieć. Słuchaj, jak myślisz... co nas czeka, gdy wyjdziemy?

– Nie wiem... Byłaś kiedyś wcześniej na samym szczycie?

– Nie, najdalej byłam w miejscu, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– Na pewno będziesz pod wrażeniem. Byłem tu tylko zimą, więc wierzchołki gór były pokryte śniegiem, a najpiękniejsze były zachody słońca. W jedną stronę widziałaś zlodowacone góry, a w drugą – słońce pływające nad taflą morza. Widać było nawet

twoją wieś... Mamy tam dużo drzew – moreli, oliwek. Jestem ciekaw, jak będą wyglądały latem, gdy zaczną rodzić owoce.

– Szarbel... nie wydaje ci się, że wzięłaś na siebie zbyt dużą odpowiedzialność?

– A ty nie wzięłaś? – skontrował.

– Może i tak, ale sam widziałeś, że ludzie mnie potrzebują. Będziemy musieli zorganizować życie na nowo – powiedziała poważnie.

Chłopak patrzył na twarz Sary. Przyszłość wydała mu się nagle odległą, jakby mieli zostać w jaskini na zawsze. Zamknął oczy.

– Halo, gdzie odleciałeś? – przywołała go Sara.

– Wydawało mi się przez chwilę, że jesteśmy oboje na pięknej łące – odpowiedział rozmarzony. – Że siedzimy tam, oglądając motyle fruujące wśród dmuchawców i chmury, które powoli przesuwa wiatr, jak pasterz zaganiający stado do domu. Siedzimy na wysokiej skarpie, z której rozpościera się widok na morze. Właśnie patrzymy, jak fale uderzają o szare skały, nad którymi ósemki zataczają rozkrzyczane mewy...

Kiedy otworzył oczy, wciąż byli w jaskini.

19. Wiosna

Minał blisko tydzień od chwili, gdy z zewnątrz dobiegły ostatnie huki. Tak przynajmniej zdawało się Szarbelowi, bo po jakimś czasie każdy przestał precyzyjnie odmierzać dni. Upływ czasu oceniał jedynie po liczbie przeczytanych stron — przez ostatnie dni wyjątkowo pilnował narzuconej sobie dyscypliny w ćwiczeniach czytania. Nie było to jednak łatwe; w gęstej jaskiniowej atmosferze trudno było o skupienie.

Inni również nie marnowali czasu. Aleksy postanowił wykorzystać ten okres — pozbawiony rygoru codziennych modlitw, sprzątania i pracy w polu — by spisać wszystko, co pamiętał o Wzgórzu. Opisał wygląd monasteru, rozkład pomieszczeń i detale codzienności, licząc na to, że kiedyś ktoś zechce wiedzieć, jak wyglądało to miejsce. Igumen dostrzegwał w tym jednak zagrożenie. Obawiał się, że skoro historia zatoczyła koło, komuś przyjdzie do głowy odbudować coś, co — jego zdaniem — nigdy nie powinno było powstać.

Stary mnich często nerwowo przechadzał się po jaskini, podpierając się gałęzią brzozy, z którą przestał się rozstawać. Jego zachowanie irytowało część uciekinierów, zwłaszcza gdy z nadgorliwością sprawdzał, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Ludzie wciąż podchodzili do niego z dystansem. Igumen wiedział, że cokolwiek by zrobił, nie odzyska już ich pełnej przychylności.

W końcu uznał, że nadszedł czas wyjścia. Wezwał do siebie Szarbela, Sarę, Gabriela i Aleksego. Mijał właśnie miesiąc od zejścia pod ziemię, a zapasy jedzenia były na wyczerpaniu.

O świcie Szarbel wraz z mężczyznami ze wsi próbowali odsunąć kamień blokujący wyjście. Napierali raz za razem, lecz głaz ani drgnął. Rudy oparł się plecami o lodowatą skałę i spojrzął na Sare. – To nie ma sensu... – wyszeptał. Cisza w jaskini gęstniała. Może powinniśmy poszukać innego wyjścia? – pomyślał. Przecież nie zbadaliśmy wszystkich korytarzy.

Nagle usłyszeli uderzenia młota i ciężki oddech dobiegający z drugiej strony. Po minucie głaz drgnął, a wąski promień światła przeciął mrok. Szarbel zobaczył znajomą sylwetkę. – Gibran... – wyszeptał. – Sporo gruzu się zebrało... – Mężczyzna oparł dłonie o skałę, odkładając łom, którym rozbił ostatnie kamienie. – Myśleliście, że tak po prostu was tu zostawię? – Ale... jak? – wykrztusił Szarbel. – Przecież ty miałeś... – Później – przerwał mu Gibran. – Liczy się tylko jedno: idźcie. Wojna się skończyła.

Szarbel zawahał się, ale mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. – Wyprowadź ich stąd.

Chłopak patrzył na niego w osłupieniu, podczas gdy wokół rozległ się gwar. Mieszkańcy wsi zaczęli gromadzić się przy wyjściu; niektórzy płakali ze szczęścia, mrużąc oczy przed blaskiem dnia.

Pierwszą rzeczą, która uderzyła ich na zewnątrz, był ogłuszający śpiew ptaków. Ogród tętnił życiem. Długa, przerywana pieśń dzierlatki przeplatała się z monologiem białorzytki. Do ptasiej rozmowy dołączyła gruchaniem sierpówka, przekrzykiwana przez gołębia skalnego, który zbyt wcześnie wybudził się ze snu. W powietrzu unosił się zapach niedojrzałych moreli. Na ziemi leżały drobne owoce, rozgryzane gdzieniegdzie przez szpaki. Pod szopą trwała mała bitwa o terytorium: mniejszy ptak kłócił się z przeciwnikiem, który — spłoszony — uciekał w koronę drzewa oliwnego, by za chwilę niespodziewanie zaatakować od tyłu.

Szarbel był zdumiony, jak bardzo przez ten miesiąc rozrosły się drzewa. Pojawiły się pierwsze oliwki. Choć były jeszcze twarde i zielone, wszystko zapowiadało obfity urodzaj. – Jesienią je zbierzemy i zrobimy z nich użytek – obiecał Sarze.

Malutkie owoce zrodziły też drzewka mandarynkowe. Szarbel stał w palcach łśniący liść, wydobywając słodki, niemal duszący zapach. Nabrawszy kilku głębokich oddechów rześkiego górskiego powietrza, ruszył w stronę zabudowań. – Sara, zbadam okolicę i zaraz wracam. Nigdzie się nie ruszaj.

W kurniku zastał jedynie śmiertelną pustkę. Twarde, suche odchody wskazywały, że ptaków nie było tam od dłuższego czasu. – Spójrz na to, Szarbel! Czym oni tutaj jeździli? – krzyknęła z oddali Sara, wskazując na głębokie ślady gąsienic odcisnięte w miękkiej ziemi. – Uważaj, może być niebezpiecznie... – ostrzegł, choć nie dostrzegwał min ani niewypałów.

– Musisz to zobaczyć! – wykrzyknęła dziewczyna. Rudy podbiegł do niej i stanął jak wryty przed zniszczoną winnicą. Z dumy mnichów nie zostało prawie nic — pędy były połamane, a ziemia stratowana. Sara rozejrzała się dookoła, szukając znaku, że to miejsce wciąż jest wyjątkowe. Nic jednak nie rzucało się w oczy. – Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałam... – Czego się spodziewałaś? – zapytał zaskoczony Szarbel. – Sama nie wiem... – zawahała się. – Tyle się we wsi mówiło o Wzgórzu, a teraz nagle tu jesteśmy. – Zobaczysz, jakie jest naprawdę, gdy się przyzwyczaisz. – Myślisz, że tak po prostu tu zostaniemy? – Nie wiem, ale chyba tak byłoby najsprawiedliwiej. – Najsprawiedliwiej? Myślisz, że ktoś będzie to rozważał w takich kategoriach? – Sara, nie mam pojęcia – przyznał lekko zdezorientowany. – Ale tak jak mówił igumen, Wzgórze należy do was.

– Do nas? – zdziwiła się. – To miejsce od dawna nie należy do nas. Nie możemy tu zostać na zawsze. Wzgórze to nie jest koniec naszej wędrówki, to tylko przystanek. Schronienie na czas próby.

Nie możemy dać się kolejny raz tak po prostu „przestawić”.

Zapadło długie milczenie.

– Porozmawiamy o tym z mnichami – odparł w końcu Szarbel.
– A teraz chodźmy obejrzeć monaster.

Słońce świeciło coraz mocniej, utrudniając ocenę stanu budynku. Gdy jednak zbliżyli się do murów, prawda stała się jasna: monaster przestał istnieć. Całe piętro — w tym pokój, w którym Szarbel mieszkał od zimy — zostało doszczętnie spalone. Podobny los spotkał oba skrzydła. Z kaplicy nie zostało nic, a centralna część straszyla czarnymi dziurami po oknach.

Szarbel zajrzał do kuchni przez wnękę w murze. Dostrzegł zachowany piec i resztki dębowego stołu. Nagle zamarł — usłyszał szmer, dźwięk przetrącanych butelek. Odruchowo kucnął, zasłaniając dłonią usta Sary. Przez chwilę nasłuchiwali w napięciu, ale odpowiedziały im tylko ptasie trele.

Chłopak podniósł się powoli, chwycił ramę okienną i wskoczył do środka. Poprzewracane szkło leżało przy piecu, lecz jego uwagę przyciągnęło coś innego. Wewnątrz paleniska, za na wpół otwartymi drzwiczkami, wylegiwały się dwa srebrnobure lisy. Przestraszone, wpatrywały się w niego bursztynowymi ślepiami, leżąc na posłaniu z trawy i popiołu.

Zastygł. Obserwował je przez moment, po czym bardzo powoli, by ich nie spłoszyć, wycofał się głównym wejściem. Tam ujrzał leżący w zgliszczach dzwon. Musiał spaść w czasie pożaru dzwonnicy. Chłopak pomyślał o Albercie, po czym przywołał Sarę niepozornym gestem i razem skierowali się z powrotem do gaju.

Tylko jedno pozostało niezmiennie — huśtawka na starym drzewie. Wokoło natura toczyła swój własny rytm, jakby ostatnie miesiące w ogóle jej nie dotyczyły. U podnóża skarpy zieleniły się

krzewy, a gdzieś daleko strumień płynął spokojnie kamiennym korytem.

Igumen stał tuż przy wyjściu z jaskini. W ostrym świetle dnia jego twarz wyglądała strasznie — była blada, pocięta głębokimi zmarszczkami, z popękanyimi ustami i zaropiałymi ranami na policzkach. Szarbel przypomniał sobie, jak Aleksy próbował przemywać je ziołami, ale starzec zawsze odsuwał jego dłoń bez słowa. Szarbel pomógł mu wyjść na powierzchnię. Zapach wolności był dla starca wstrząsem. Rozejrzał się, wodząc wzrokiem po znajomych ścieżkach. Chciał ruszyć naprzód, do ruin, ale zabrakło mu tchu. Usiadł na rozbitym gładzie.

W oddali, przy spalonych winoroślach, Aleksy klęczał na ziemi, rozgrzebując palcami popiół. Sprawdzał, czy korzenie wciąż żyją. Gabriela Szarbel zauważył na samym końcu — milczał, co było do niego niepodobne, ale z jego oczu biła czysta radość.

Sara skinęła Szarbelowi głową i zniknęła wśród swoich. Dzieci głośno się śmiały, kobiety wymieniały uwagi, a starsi mężczyźni w milczeniu szacowali straty.

– Obiecaj mi tylko jedno – powiedział igumen, nie odrywając wzroku od zgliszcz. – Obiecaj, że nie stworzycie tu już niczego podobnego.

Szarbel odwrócił się w stronę Gibrana. – Dlaczego wróciłeś? Przecież mogłeś odejść. Ukryć się. Ułożyć sobie życie gdzieś daleko stąd.

Gibran uśmiechnął się z wysiłkiem. – Takie życie nigdy nie było dla mnie. – Zamilkł na chwilę. – Zawiodłem wielu ludzi. Zawiodłem też samego siebie. Ale jeśli dziś zrobiłem choć jedną

dobrą rzecz... to może coś jeszcze ma sens.

– To nieprawda, że zawiodłeś... – odparł stanowczo Szarbel.

– Gdyby nie ty, nie byłoby nas tutaj. Nigdy byśmy nie wyszli.

Mężczyzna spojrzał na niego łagodniej. – Ty wciąż wierzysz w ludzi. Ja już nie potrafię. Dlatego twoje miejsce jest tutaj – powiedział cicho.

– Tak nas po prostu zostawisz? Moglibyśmy razem zacząć od nowa...

Mężczyzna pokręcił głową. Położył dłoń na ramieniu chłopaka i mocno je uściśnął po raz ostatni.

